Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 1. Sierpnia 1880 r. **Tom XI.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 31.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

Hyperprodukcja inteligencji.

W chwili, gdy w sejmie naszym znalazły się głosy, ubolewające nad hyperprodukcją u nas inteligencji, chcemy pokazać czytelnikom, jak na taką hyperprodukcję zapatrują się gdzieindziej, a mianowicie w Norwegji, kraju bezwątpienia najszczęśliwszym w Europie.

Podróżnik p. Jan Finkelhaus, który tam jakiś czas bawił, drukuje obecnie w Ateneum studjum z podróży, odbytej po Norwegji w roku 1879, z którego przytoczymy kilka charakterystycznych wyjątków.

„Przedewszystkiem, powiada p. F., w historji naszej cywilizacji uderza dziwny fakt. Czując potrzebę naśladowania kogoś, szukaliśmy zwykle przykładów tam, gdzie odrębne, a raczej szczęśliwsze od naszych okoliczności bytu, wytwarzały zawsze niedościgłe dla nas ideały. Trudno słabemu kroczyć śladami silnych, naszemu biednemu krajowi biedz torem Francji lub Anglji. Nastraszeni tedy wysokością ideałów, zamiast dążyć, wzdychaliśmy do nich tylko...

Jednakże nie ulega wątpliwości, że sama chęć naśladowania jest także siłą. Należy tylko dla jej wyzyskiwania poszukać zamiast wielkich — praktycznych dla nas ideałów. Zamiast tedy patrzeć w stronę oślepiającego blaskiem słońca, spojrzmy na drobniejsze, acz względnie również promienne gwiazdy... I rzeczywiście, gdybyśmy się przyjrzeli życiu drobnych państw Europy, odnaleźlibyśmy tam wiele tych korzyści, które bezskutecznie z życia wielkich mocarstw dla naszego bytu wygrzebać usiłujemy. W dodatku, wartość każdej instytucji społecznej łatwiej się w tym razie ocenia, nie gubią się bowiem one w całem morzu niedostępnych czy też trudnych do wyłowienia warunków. Życie przedstawia się tu jak na dłoni i umiejętny jego badacz łatwo odszuka wszystkie pierwiastki poczęcia i powodzenia każdego objawu społecznego.

W tej gonitwie za ideałem, niezmiernie ważnym jest również dla nas i ten lekceważony często czynnik: czy sympatyczny dla obserwującego dany objaw społeczny wypływa ze źródła państwowej, czy też jest tylko wynikiem czysto społecznej działalności. Każdy łatwo zrozumie ważność zaznaczonej różnicy. Łatwiej bowiem przychodzi zwykle przeszczepić na dany grunt korzyści wytworzone i pielęgnowane społecznemi niż państwowemi usiłowaniami...

Norwegja odpowiada w zupełności dwom powyższym warunkom. Większą część swego powodzenia zawdzięcza ona przeważnie inicjatywie prywatnej, a więc uczciwemu zrozumieniu obowiązków obywatelskich. Jest to fundament, na którym można budować wszędzie, a u nas, jeżeli nie szczęśliwiej, to choćby zarówno jak gdzieindziej.

Nie zapominajmy również, że Norwegja liczy zaledwie 1.800000 mieszkańców na 5719 mil kwadr., a więc 320 dusz na 1 milę kw., że leży ona między 57° a 71° szerok. północnej i że z całej tej przestrzeni tylko 116 mil kwad. jest zdatnych do uprawy gruntu, a 5603 mil kwad. to śliczne, co prawda, góry i skały, ale zawsze tylko... góry i skały. A jednak wśród tych skał wykwitła kultura, wyższa pod pewnym względem od angielskiej i francuskiej.

Oto kilka dowodów:

Według dat statystycznych z roku 1877, tylko 1% dzieci od lat 8 do 14 nie pobierał wykształcenia publicznego. Byli to zresztą głuchoniemi, idjoci, synowie dwóch baronów i jednego hrabiego. *)

Na nie całe 2 miljony ludności, Norwegja posiadała w r. 1871 — 105; w 1877 — 173; w 1879 — 178 wydawnictw perjodycznych. Nasi czytelnicy zrozumieją pewnie doniosłość tego, przypomniawszy sobie, że my, na 3 razy tyle ludności, posiadamy 3 razy mniej wydawnictw, a w dodatku, nie bacząc na wyjątkowe okoliczności naszego bytu, nie zbyt chętnie witamy każdy nowo powstający dziennik, kiedy tu... **) Otoż właśnie brak materjału do rozmyślań, gdyż Norwegczycy błogosławią je, pomnąc, że oprócz ogólno-cywilizacyjnych korzyści, każdy nowy dziennik skutecznie pomaga do wyzwolenia narodowości norwegskiej z pod duńskich wpływów...“

Dalej opowiada p. F. spotkanie się swoje i rozmowę z pewnym proboszczem w okolicy Telemarkenu i deputowanym na sejm, włościaninem nazwiskiem Olsen:

„Dziwne to, odezwał się proboszcz, jak wychowanie zmienia postać ludu. Spierano się i u nas długo, czy nauka czytania i pisania, do czego się zwykle początkowo redukuje działanie na tem polu, wywiera wpływ tak zbawienny. A jednak niewątpliwa, że od elementarza do zrozumienia Ibsena czy Grundtwiga jest przestrzeń daleko mniejsza, niż od nicości do elementarza. Ciekawość bo jest jednym z najpotężniejszych bodźców. Podrażniony abecadłem umysł, sili się prędko wybiedz po za jego granice.

Z prostaczków wyrastają tym sposobem ludzie wykształceni, z wykształconych olbrzymi myśli. Genjuszów wydaliśmy wprawdzie nie wiele, ale cyfrą ludzi wykształconych zaimponujemy niedługo Europie.

Będą bowiem nimi wszyscy Norwegczycy. Raz pojąwszy znaczenie wykształcenia, nie rozprawiamy już o jego korzyściach, ale o jego zastosowaniu. Lud niebogaty, to prawda, ale gminy oszczędzają na gmachach publicznych i pomnikach, uroczystościach — poświęcając wszystko na szkoły. Kto chce szukać u nas popularności, ten ją tylko na tej drodze znaleźć może:

---

*) Od roku 1821, gdy zniesiono w Norwegji szlachectwo, nie ma tam więcej oddzielnych klas narodu, jest tylko jedna klasa obywateli. Lecz że prawo wstecz działać nie może, więc urodzeni przed rokiem 1821, mogą się jeszcze uważać za szlachtę. Ma więc dziś jeszcze Norwegja dwóch baronów i jednego hrabiego, którzy gdy umrą, nie będzie już ani jednego szlachcioa w Norwegji. (Przyp. red.)

**) Cały ten ustęp dotyczy Kongresówki; cóżby dopiero dało się powiedzieć o Galicji! (Przyp. red.)

niech da bezpośrednio czyli pośrednio na szkoły kapitał swej wiedzy, albo też pieniężne zasoby. Dlatego deputowani poświęcają trzecią część swych mozołów tej kwestji, zrzekając się dróg publicznych, gmachów, wszelkich innych dogodności dla okolicy, żądając tylko szkół i szkół. Przeczytaj pan kiedy wnioski deputowanych angielskiego parlamentu i naszego startingu, a przekonasz się, że w 9/10 wypadkach oni żądają wszystkiego, a nie szkół, my niczego, tylko szkoły...

— Więc główną przyczynę waszej obecnej szczęśliwości przypisujecie oświacie ludowej?

— Bezwątpienia. Jeden z naszych chłopów powiedział na sejmie: „Dajcie mi obumarły naród, a wskrzeszę go abecadłem.“ Wszyscy mu przyklasnęli.

Nie ma narodowej choroby, którejby jeszcze tym środkiem wyleczyć nie było można. To też cieszymy się, widząc, że w r. 1875 było dzieci w szkołach aż 271.000, z których... 18.000 w szkołach wyższych, i to nie zapominaj pan, na 1,800.000 mieszkańców, na co, mówiąc nawiasowo, wydaliśmy 6,000.000 fr. Mamy teraz przeszło 4700 szkółek, a przytem liczba nauczycieli wzrasta nieustannie. Najczęściej chłop, kończąc uniwersytet, wraca do roli i zostaje równocześnie nauczycielem. Ogólny i zasłużony szacunek, jakim cieszą się nauczyciele ludowi, sprawił, że w oczach wszystkich stan ten uważa się za równy...

No, komu, szepnął zakłopotany starzec, no, chyba, pastorskiemu. Oto widzisz pan jedyne kłopoty i niewygody równości. W rozmowie brak skutkiem tego przedmiotu do porównań. Ale właśnie tej to okoliczności zawdzięczamy głównie to, że jeżeli w r. 1837 mieliśmy 1 nauczyciela na 84 dzieci, w r. 1853 1 na 74, to w r. 1875 już wypada 1 na 64.“

Następnie towarzystwo udaje się na wycieczkę i wstępuje do domku nauczyciela wiejskiego Petersona.

„Na progu domu, mówi p. F. przywitał nas sympatyczny młody człowiek. Lat miał może jakie 30. Długie i białe jak len włosy wiły mu się kędziorami po bladem czole. Ubrany był jak chłopi z Telemarkenu w siermięgę. Serdecznie przywitał się z pastorem i Olsenem, zamienił kilka słów ze mną i poprosił nas do pokoju. Umeblowanie mieszkania było jak u zamożnego włościanina. Stało więc tam ogromne łóżko upstrzone w jaskrawe rzeźby i napisy, z których najbardziej błyszczało życzenie „Niech wam Bóg sprzyja“, szafa również stara, z napisem zdradzającym przedsiedmdziesięcioletnią datę jej urodzin, kilka stołków bez poręczy i długi stół przyjmujący zwykle gości, a jak w tej chwili, stosy książek nauczyciela. Peterson, lat już temu ze cztery jak ukończył uniwersytet. Syn zamożnego przemysłowca w Chrystjanji, udał się w góry Telemarkenu w charakterze nauczyciela ludowego, by obeznać się tym sposobem z życiem chłopów, wspierać ich radą, i urzeczywistnić swą ideę o *hiskole* (wyższa szkoła), którą pragnąłby założyć w okolicach Tinoret. Jest tu już wprawdzie jeden nauczyciel, ale trudno mu podołać obowiązkom. Wędruje tedy i Peterson po górach, nauczając chłopskich dzieciaków. Wielu zresztą wychowańców uniwersytetu korzysta w ten sposób z *nieograniczonej* wolności nauczania. Nauka jest obowiązkową dla dzieci od lat 8 do 15 i bezpłatną. Istnienie jednak szkół państwowych i gminnych, nie przeszkadza istnieniu nauczycieli prywatnych. Ostatni nie potrzebują w tym celu składać osobnych egzaminów, ani też uzyskiwać specjalnego pozwolenia.

Jeżeli jednak kierunek, czy też sposób ich działania wydaje się wątpliwym, wtedy komitet szkolny egzaminuje dzieci, a w razie niezadowalniających rezultatów, każe posyłać je do szkół sankcjonowanych przez gminę. Rodzice nieposyłający dzieci do szkół, są początkowo karani pieniężnie, a póżniej odbierają im dzieci i poruczają jednej z rodzin danej gminy. Dwanaście tygodni w roku obowiązane jest każde dziecko uczęszczać do szkoły, licząc po 6 godzin dziennie i 6 dni na tydzień.

Nie umiejący czytać, nie może wstąpić w związek małżeński, a chłopcy w wieku lat 20 oddawani są w takich razach do zakładów wychowawczych.

Ale wykształcenie dane młodym, należy utwierdzać, a raczej rozwijać w starszych pokoleniach. Kto nie postępuje, cofa się. Na to zwrócił słuszną uwagę biskup Grundwig i zaprojektował zakładanie wyższych szkół dla chłopców około r. 1840. Myśl na gruncie Skandynawskim, przyjęła się praktycznie. Pierwszą szkołę otwarto w r. 1844. Dziś liczy Szwecja 13, (z których dwie dla kobiet), a Norwegja 10 wyższych szkół ludowych.

Mają one na celu dalszy rozwój chłopskich umysłów *w wieku od lat 18 do 30*, kształcenie w nich poczucia obywatelskiego, miłości dla kraju, i rozszerzanie szczupłych zawiązków ich elementarnej wiedzy. Ze względu na charakter uczniów, nie używa się nigdy pamięciowych lekcji i książek. Nauczyciele uczą, opowiadając i gawędząc. Podczas długich zimowych wieczorów, zbierają się chętnie i gawędzą z wielewiedzącym nauczycielem o geografji, historji, polityce. Czyta się przytem klasyków Norwegskich, objaśnianych w razie potrzeby przez nauczyciela.

Szkół tych nie zakłada nigdy rząd, zawdzięczają istnienie *tylko prywatnej ofiarności*. Temu lat dwa, dał wyjątkowo na ten cel rząd szwedzki znaczną sumę, wraz z solenną obietnicą nie wtrącania się do ich czynności.

Co kraj, to inny obyczaj! Co jest prawdą po jednej, bywa jednak fałszem po drugiej stronie Pirenejów. Losu tego, doświadczają szczególniej ideały: poczynając od kobiecych, a kończąc na ogólno-społecznych. Forma norwegskiej oświaty ludowej, szczytna dla naszych najradykalniejszych na tem polu wymagań, chroma w oczach zwykłych jej norwegskich przyjaciół. Marzą tedy o nieustannych reformach i ulepszeniach. Przeobrażeniom i ulepszeniom winny uledz nawet wyższe szkoły ludowe.

— Że chcecie jeszcze więcej szkół dla specjalnego kształcenia nauczycielek — mówiłem do dowodzącego mi w tym duchu Petersona, rozumiem; że twierdzicie, jakoby na kraj mający niespełna 2 miljony ludności, 14 szkół przygotowujących ludowych pedagogów nie wystarczało, to już mniej pojętne; ale, że wasze idealne „wyższe szkoły“ nie wystarczają, to już jest dla mnie niepojęte.

— Najprzód pragnąłbym — odrzekł na to Peterson — by wykształcenie to spływało na dojrzałe, i przyprószone już siwizną głowy, by rozszerzyć tym sposobem zakres jego przedmiotów i podległej jego działaniu sfery. Rozciekawione tylko obecnym systemem „hiskole“ umysły, zaspokoić wykładanemi im w następnym perjodzie przedmiotami.

Można śmiało nauczać cały naród tego, co zwykle wiedzą tylko jego wybrani, mówi słusznie Condorcet. Koniecznem jest, by każdy wiedział, korzystał, umiejętnie bronił, podtrzywał i rozszerzał zgodne z wymaganiami moralności i swobody, przysługujące mu prawo. Trzeba i umysł chłopa zrobić wrażliwym na najsubtelniejsze powiewy myśli. Szlachetność i właściwą jej godność, należy zaszczepić w najniższych społeczeństwa warstwach, bo wszystkie mają do nich prawo, bo przychodzą one na świat z piętnem człowieczeństwa, i czekają tylko, by je z ducha tajników, wywiodła na jaw wolność, nieskrępowanej żadnemi przesądami myśli. Należy masom wskazać, a uchwycą się one tego swego prawa. Spojrzyj pan, jak nasz kraj chłopów garnie się do myśli i wynagradza jej kapłanów. Pokażcie mi kraj w Europie, gdzieby państwo płaciło jak w Norwegji pensje *wszystkim* wyrastającym po nad zwykły poziom pisarzom. Nasz chłopski parlament uchwalił jednogłośnie pensję dla znienawidzonego przez siebie *Ibsena**). Szczyt bezstronności, czy też sprawiedliwości. Starting płaci pensje wszystkim znakomitszym muzykom i malarzom, wspiera pozostałe po nich wdowy i dzieci.

— Ale jakże pogodzisz pan swe wymagania z warunkami nowoczesnej organizacji państwowej?

— Rozumiem, że pod względem politycznym trudno w naszem stuleciu naśladować Ateny, trudno ażeby wszyscy obywatele zbierali się na narady polityczne, ale niemożliwość rządów gminowładnych nie wyklucza bynajmniej możliwości *ogólnej wyższej oświaty*. Powtarzam — mówił zapalając się Peterson — że pociągiel czy cepy w ręku, nie przeszkadzają pracować myśli. Przeciwnie, wzajemne oddziaływanie fizycznej i umysłowej pracy, wywrze na nie wpływ zbawienny. Lecz w tem to leży błąd obecnego systemu. Zaspokaja on co prawda ciekawość, ale za mało podbudzaną. Chciałbym i naród poić śmietanką wiedzy, a nie poprzestawać tylko na geografji i historji.

Długo jeszcze w noc wykładał nam Peterson swoją teorję. Pastor śmiał się w najlepsze ze słów swego młodego przyjaciela, całując i ściskając go na przemiany.

— Niech bo sobie marzy i działa — mówił ksiądz — kiedy wracaliśmy potem do domu. Szlachetne bo są jego marzenia, a jeszcze lepsze jego czyny. Pracuje darmo nad siedmiorgiem dzieci, ucząc je abecadła i pisania. Żyzność pola wynagradza mu, jak powiada jego szczupłość. A potem, kiedy się wyszumi i ochłodzi, będzie dalej pewnie dzieci uczył, tylko już porzuci swoje marzenia może, a może je i urzeczywistni.“

Tak się przedstawia kwestja hyperprodukcji inteligencji w Norwegji... co prawda w Norwegji jest tylko dwóch baronów i jeden hrabia...

*) Ibson — Szekspir II jak go słusznie nazywa Brandes, najzdolniejszy z współczesnych skandynawskich pisarzy, swą zgryźliwą krytyką i radykalnemi zasadami, naraził sobie wszystkich Norwegczyków. Zmuszony opuścić kraj, udał się do Niemiec gdzie obecnie przebywa i tam przyznaną mu przez sejm norwegski pensję pobiera... A u nas? U nas pisarze wybitniejszych zdolności są nieledwie prześladowani, a ich niezależne, postępowe przekonania uważane są za plamę i to nawet w oczach władz naszych własnych, autonomicznych. (Przyp. red.)

Z CIĘŻKICH DNI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

napisał

TEOD. TOM. JEŻ.

(Ciąg dalszy).

V.

Biczownica.

Futor pana Macieja Małuskiego dał nam poznać stan ówczesny kraju ze strony nie nader kwitnącej. Ktoś, coby pomyślał, że to wyjątek, omyliłby się bardzo. Nie był to wyjątek wcale. Stan ten ogarniał kraj cały, dotykając pojedyńczych onego prowincyj w stopniu rozmaitym; jednej mocniej, drugiej słabiej, nie oszczędzając atoli żadnej. Wprawdzie wielkopolskie i małopolskie województwa, Mazowsze, ziemie pruskie nie podlegały kozackim, tureckim i Tatarskim plagom, za to, czyż dawno pozbyły się Szweda z karku? czy nie ciążył im kurfirszt, wywierający wpływ rozkładający na społeczność, która, pozbawiona ducha zaborczego, biernie jeno przeciw wpływowi temu odziaływać mogła? Tam toczył rak jeden, tu drugi, ten zaś ostatni wyciągał polipie ramiona swoje od ujść Dniepru, Bohu i Dniestru w górę, ku źródłom rzek tych i wywoływał wszędy płacz i zgrzytanie. Ruina i zniszczenie rozpościerały się szeroko. Bieda rozpierała się po kątach wszystkich, nie bez wyjątków jednak.

Nie bez wyjątków.

Znajdowały się miejsca, oazy szczęśliwe, w których na biedę zapatrywano się jak na widowisko smutne, okropne nawet... widowisko jednak koniec końcem. Czyż nie ma widowisk, łzy widzom wyciskających?

Był spektakl; byli spektatorowie.

Ci ostatni tkliwem jeno uczuciem zespalali się z biedą powszechną.

Dotknąć tu mamy jednej z chorób, ważniejszą w losach Polski odgrywających rolę.

Były i w dziejach naszych chwile, w których fanatyzm, wstrętny zawsze dla ducha naszego narodu, odgrywał rolę swoją.

I stawała się wówczas susza straszna, która paliła wszystko, co, dzięki wrodzonemu a wielkiemu narodu uzdolnieniu, na umysłowej zabujało niwie. Gasło światło, potworniał język, krzywiły się wyobrażenia. W dusze wszczepiał się egoizm, garnący wszystko sobie pod nogi. Dwa prądy unosiły naprzód ludzi przewodnich: prąd ziemski i prąd niebieski. Pierwszy napiętnowany został wyrazem »prywaty«, wypalonym głoskami ognistemi na czole dziejów narodu; drugi nie uzyskał w historji miana oddzielnego, a to dla tego zapewne, że się z pierwszym łączył, popierał go i osłaniał, zlewając się z nim często w jedno.

Zarażonych egoizmem jednym i drugim obwiniać nawet nie można. Istnieją dla nich okoliczności łagodzące, tkwiące w przyczynach. Przyczyny wprawdzie owe tkwią również w przyczynach, te ze strony swojej także w przyczynach i tak dalej, wszakże... rzecz nie nasza drapać się po drabinie tej węzłowej, aż do przyczyny pierwotnej. Piszemy powieść. Musimy się trzymać nici, rozwikłanych przez nas zdarzeń. Obowiązani jednak jesteśmy, podając objawy niektóre, nie pozostawiać ich bez objaśnienia stosownego. Dla tego to wyrzekliśmy słów owych kilka, gotując się do przeprowadzenia czytelnika z futoru, gdzie się żywiono zbożem padalicznem, na pokoje, gdzie panował dostatek, nie dający się ani domyślać nędzy w kraju.

Wchodzimy tedy na pokoje urządzone wspaniale. Kobierce na podłodze, obrazy na ścianach, złotogłów na obiciach, bronzy, ozdoby, zwierciadła, kwiaty, wonie, raj istny! Wszystko jednak, co się umeblowania i upiększenia tyczy, trzymane było w tym tonie surowym, który w mieszkaniu ludzkiem, niby w przybytku Najwyższego, opędza daleko myśl płochą o igraszkach swawolnych. Powaga z każdego wyzierała kąta. Komnaty, których była ilość ogromna w pałacu ogromnym, dzieliły się na mniej paradne i paradne. Te ostatnie stanowiły oddział osobny, ogniskujący się niejako w jednej, w której, gdyby nie zawieszone kotarą łoże, wydawaćby się mogło, iż się jest w kaplicy, poświęconej czci wyłącznej Chrystusa Ukrzyżowanego. Wprost drzwi widzieć się dawał ołtarzyk z wielkim z hebanowego drzewa krucyfiksem; na ołtarzyku książek kilka z pozłocistemi klamrami, w bogatej oprawie; przed ołtarzykiem szeroka naga płyta kamienna, podobna z kształtu do stopnia lub proga. Obok okna każdego, a było ich cztery, stał ołtarzyk pomniejszy i krucyfiks pomniejszy, pod oknami zaś znajdowały się stoliczki kobiercami przykryte, służące za skład dla książek do nabożeństwa i dla przyrządów do robótek kobiecych. Nad łożem wznosił się opiekuńczo obraz, przedstawiający Zbawiciela Ukrzyżowanego. Ściany komnaty obciągała materja, naśladująca barwą swoją kolor drzewa krzyża. W ołtarzyku największym, w szufladce *ad hoc* zrobionej, spoczywały: włosiennica, pasek druciany, manele i dyscyplina. Komnata przyległa posiadała, na widnem miejscu, w bogatych ramach obraz Matki Boskiej; w następnej dominował obraz św. Józefa, w innych znów zajmowały miejsca poczestne obrazy przedstawiające św. św.: Franciszka z Assyżu, Antoniego i Franciszka Ksawerego. Komnaty te, jak rzekliśmy wyżej, stanowiły oddział osobny, apartament, w którym komnata z krucyfiksami pełniła funkcję pokoju sypialnego, komnata z obrazami była rodzajem budoara z wieku XVII, inne zaś, umeblowane i urządzone stosownie, służyły do posiedzeń z domownikami i z gośćmi. Dalej następowały apartamenta pozbawione obrazów świętych, nie mniej jednak przystrojone wspaniale. Stanowiły one dział drugi, a ten, nacechowany charakterem rycerskim, ogniskował się w komnacie, w której stało łoże sypialne, nad łożem wisiał św. Stanisław, a ściany zdobiły zbroje i oręże. Pomiędzy ogniskiem tem a tamtem, o którem pisaliśmy powyżej, istniała komunikacja tajemna. Dla przejścia z jednego do drugiego, trzeba jeno było zamaskowane w ścianie drzwiczki otworzyć.

Przepych, jaki w ogóle w pomieszkaniu tem panował, kazałby się domyślać, że było to pomieszkanie monarsze chyba.

Nie uprzedzajmy jednak siebie sami; dowiemy się o tem później, dochodząc niejako po nitce do kłębka, a zaczynając od ukazania czytelnikowi niewiasty w stanie ekstazy modlitewnej.

Zsunęła się z łoża nogami bosemi, zarzuciła na siebie narzutkę białą, chwiejnym krokiem przez komnatę przeszła i nagiemi kolanami na kamiennej płycie przed krucyfiksem wielkim uklękła.

I poczęła się modlić, bić w piersi, pochylać ku ziemi, oczy i dłonie do góry wznosić. W momentach pewnych, gdy się w wizerunek ukrzyżowanego wpatrywała Zbawiciela, oblicze jej rozjaśnione zachwytem, otaczało się niby nimbem. Oczy jej wzbierały natchnieniem, usta wpół otwarte zdawały się wyrażać łaknienie czegoś, co w górze tkwiło, postać jej podawała się w sposób taki, jakby z płyty kamiennej w powietrze unieść się miała.

Postać ta należała do rodzaju tych, dzięki którym płeć piękna słusznie miano »pięknej« zdobyła.

Niewiasta klęcząca, w chwili kiedy ją czytelnikowi pokazujemy, liczyła lat dwadzieścia siedm, znajdowała się więc w sile młodości, w pełni niewieściego rozkwitu, któremu matka natura nadała warunki wszelkie do czarowania ludzi. Rysy oblicza i kształty postawy nic do życzenia nie pozostawiały. Wzrost więcej aniżeli mierny, kibić dobrze ujęta, biust klasycznie rozwinięty, głowa bujnym czarnym obciążona włosem, czoło gładkie, nos równy, oczy wyrazu pełne, usta jakby umyślnie do całowania stworzone; tylko na całej tej postaci uroczej rozlewał się ogarniający ją niejako od góry do dołu wyraz znękania, cierpienia, znużenia, przedwczesnego zwiędnięcia, tego słowem, co się pospolicie nazywa terminem trywialnością trącącym, ale właściwie rzecz malującym: zmacerowania. Nienaturalna jakowaś bladość, okrywająca jej twarz, politowanie wzbudzała. Nienaturalne jakieś obrzęknięcie zajmowało miejsce pulchności, do której stworzoną była. Żal brał, patrząc na tę istotę, której coś przeszkadzało być taką, jaką z rąk hojnej na nią w darach swych natury wyszła.

Niewiasta klęczała długo i modliła się gorąco, modliła się, a w miarę jak się bardziej w modłach zagłębiała, wzmagała w sobie owo natchnienie wewnętrzne, które się na zewnątrz blaskiem na jej obliczu odbijało. Wreszcie nagłym ramion ruchem zsunęła z siebie narzutkę poranną, zsunęła bieliznę nocną do pasa, lewą ręką piersi sobie osłoniła, w prawą ujęła dyscyplinę i po grzbiecie obnażonym biczować się poczęła. Powolnie, w pewnych modlitwą zapełnionych przestankach, padał cios po ciosie, wymierzany z przyciskiem, bynajmniej nie podobnym do umartwień dewotek modnych za dni naszych, urządzających sobie klęczniki materacowane. Od

każdego uderzenia na wytoczystym kobiety grzbiecie sine występowały pręgi. Koszula osunęła się nieco i z pod takowej ukazał się poniżej bioder pas druciany, wpijający się w ciało nagie. Gdy dyscyplinę podnosiła, pobrzękiwał łańcuch, przyczepiony do zamkniętego szczelnie na ręku kółka. Wyraz zachwytu potęgował się w jej oczach i na obliczu, aż wylał się w inwokacji następującej:

— O Chryste!... o Chryste!... wielbię ciebie!... ja, Twojej Matki przenajświętszej niewolnica, miłuję Ciebie!... Miłuję Ciebie, o Chryste! duszą całą, sercem całem, myślą całą, pragnieniami wszystkiemi, i dla złożenia dowodu tej miłości mojej dla Ciebie... widzisz oto... biczuję się!...

Smagała się coraz to silniej.

— Ach!... i nie mam, mieć nie chcę nadziei innej... tylko... być z Tobą wiecznie...

Smagała się, aż zbita, zbolała, rękę opuściła, oczy ku wizerunkowi Ukrzyżowanego wzniosła i oddychała ciężko, a pot jej skroplił się na czole i na policzki czerwone wystąpiły plamy. Oddychając, powtarzała:

— O Chryste!... o!... cóż za rozkosz!... Słyszę... słyszę... te chóry anielskie, które śpiewają... chwałę Twoję... o Panie!...

Czas jeszcze jakiś w niemem klęczała zachwyceniu, w końcu znów modlić się poczęła, i modląc się, zdejmowała powoli, a nie bez wysiłku pewnego, z rąk manele, z około bioder pasek druciany. Po manelach i pasku pozostały odciski szafirowe krwią sączącą się a zapieczoną poznaczone. Wstała, chwiejnym krokiem ku najbliższemu przeszła siedzeniu, na które gdy się osunęła słabym wołać poczęła głosem:

— Sadyńska!... Sadyńska!...

Na wołanie to weszła kobieta lat pięćdziesięciu z górą, ubrana skromnie a czysto, głowa chustką obwinięta, na ramionach chustka, skrzyżowana na piersiach i związana z tyłu, na obliczu wyraz dobrotliwości. Podeszła do siedzącej, stanęła przed nią, przez chwilę w oczy jej patrzała, wreszcie przemówiła:

— Znów?... czy znów?... Och! pani... pani...

W wyrazach ostatnich brzmiał akcent wymówki z prośbą połączonej.

— Co wojewoda powie na to?...

— Słabo mi... — odparła niewiasta młoda, blednąc i na poręcze krzesła się pochylając.

Sadyńska wnet poskoczyła po wodę i sole, za pomocą których przywołała osłabioną do przytomności. W aplikowaniu środków orzeźwiających znać było wprawę doświadczeniem nabytą. Obmywała twarz i gors, przykładała do nosa flaszeczki, gdy zaś niewiasta młoda do siebie przyszła, zaczęła:

— Doktor powiada, że wszystko to pochodzi ztąd, że pani przeszkadza krwi krążyć swobodnie...

Niewiasta młoda uśmiechnęła się z wyrazem politowania.

— Doktor powiada, że gdybyś pani krwi krążyć nie przeszkadzała, to w Koronie i Litwie nie byłoby niewiasty zdrowszej...

— Moja Sadyńsiu, daj ty mi pokój z doktorem twoim... — odrzekła pani.

— Sam wojewoda polecał mu czuwać nad panią i mnie nakazał odnosić się do niego...

— Wojewoda... troskliwy o moje grzeszne ciało... o mój byt ziemski... Och!...

Ręką od niechcenia machnęła.

— Pomóż mi odziać się...

Sadyńska, westchnąwszy tylko, podała jej bieliznę świeżą. Przewdziewanie bielizny odbywało się powoli, a śród tego z ust ochmistrzyni padały co chwila wykrzykniki:

— O Jezu najsłodszy!... O Matko przenajświętsza!... O wszyscy święci pańscy!...

Wykrzykniki te wydzierał jej z ust widok znaków i sińców na grzbiecie, na rękach i na ciele.

Odmieniwszy kobiecie młodej bieliznę, przywołała dwie panny służące. Nastąpiło warkoczów czesanie i szat wkładanie. W ciągu tego młoda pani zapytała Sadyńskiej:

— Co tam nowego?

— Nowego tyle jeno, com od pana marszałka dworu słyszała... Przybył tu starosta buski...

— A... przywiózł córeczkę swoję... A... dobrze... powitam go natychmiast po mszy świętej...

— Fraucymer jaśnie wielmożnej pani w pogotowiu czeka...

Młoda pani ubrała się, wyszła; w jednej z komnat do apartamentu jej należących spotkała grono panien, które za ukazaniem się jej przybrały postawę pokorną; pani je pozdrowiła i na ich czele udała się do kościoła, gdzie spowiadała się, komunikowała i z nabożeństwem wielkiem trzech mszy słuchała. Po nabożeństwie rozdawała przed kościołem ręką własną jałmużnę żebrakom, a rozdając, powtarzała każdemu:

— Proś Pana o niebo dla niegodnej niewolnicy Matki bożej...

Czytelnik ma prawo zapytać, cóż to była za jedna?

Była to wojewodzina ruska, Marjanna, czyli Marja Anna z domu Kazanowska, małżonka Stanisława Jana Jabłonowskiego, wojewody ruskiego i hetmana polnego, następnie kasztelana krakowskiego, hetmana wielkiego koronnego.

Marjanna Kazanowska przyszła na świat w Podkamieńcu, we wigilję święta Bożego Ciała. Matka jej była Anna z Potockich, wojewodzianka bracławska, małżonka Dominika Aleksandra Kazanowskiego. Ojciec jej był ostatnim z Kazanowskich rodu i ród ten znakomity, ród hetmanów i wojewodów, przez nią po kądzieli wlał się w ród Jabłonowskich. Z racji ogólnego ducha nastroju, jaki w czasach owych nieszczęśliwych (epoce Jana Kazimierza) panował, odwrócono jej myśl od wszystkiego, co się ziemską ojczyzną nazywa. Marjanna poszła ku niebu, narzucając na drogę pochodu swego cierni i ostrych kamieni tyle, ile nagromadzić w stanie była. Siostra jej starsza, do klasztoru oddana, została ksienią u Wszystkich Świętych we Lwowie. Wydano ją za mąż, gdy miała lat piętnaście i gdy serca swego bynajmniej do świata »nie przykładała«. To też małżeństwo swoje nie inaczej, jeno jako utrapienie przyjęła. W niewoli tej żyjąc, wymyśliła sobie *ciężkości*, które pochód jej życiowy ciernistym czyniły, a zarazem urabiały jej wziętość świętobliwości wielkiej. Dzięki wziętości tej, domy szlacheckie ubiegały się o umieszczanie córek pod jej opieką, i to tem bardziej, że wojewodzina ruska nie tylko powierzone jej panny w świątobliwość wprawiała, ale jeszcze w posagi je zaopatrywała, oddając jedne za mąż, drugie do klasztoru. Rozumie się samo przez się, preferencją posiadał klasztor. Zamążwydanie następowało w takim tylko razie, gdy onego uniknąć nie bylo można.

Że wojewoda krzywem na to patrzał okiem, było to rzeczą naturalną, której się dziwić nie należy. Pochodziło to nie ztąd, ażeby on skuteczności praktyk uznawać nie miał, ale ztąd, że praktyki owe sprawiały zamięszanie znaczne w pożyciu jego domowem, w którem, zajęty całkowicie sprawami publicznemi, rzadki jeno brał udział osobą własną. W momentach wypoczynku, radby wypoczywać — szukał ciepła rodzinnego — znajdował upał, który go pomijał, jak zawadę jakowąś. Stanisław Jabłonowski wielbiłby świętobliwość Marjanny Kazanowskiej, w takim atoli razie, gdyby Marjanna nie jego była małżonką. Małżonce, starał się, o ile mógł, perswadować. Nadaremnie jednak były trudy jego! Przy nim manele, pasek, dyscyplina i włosiennica do szufladki się chowały, a nawet kamień przed ołtarzykiem kobierczykiem się osłaniał — tylko on z domu, natychmiast następowały utrapienia spotęgowane, celem wynagrodzenia czasu straconego. Przy nim lekarz ciała naprawiał ciało; w nieobecności jego lekarz duszy naprawiał duszę. Sprowadzony umyślnie sławny w czasach owych Pasterius, napróżno po łacinie przekonać usiłował, że zdrowa dusza w zdrowem mieszka ciele.

Nie pozostawało przeto Wojewodzie nic innego, jak tylko dźwigać krzyż swój.

Wojewody nie było w domu w chwili, w której czytelnikowi pokazaliśmy wojewodzinę. Uędzał się za Kozakami i Tatarami na Ukrainie. Był to rok 1671. Wojewodzina przebywała we Lwowie i oddawała się ze swobodą całą praktykom, które miały głównie na celu zapewnienie dla duszy jej zbawienia. Z celem tym łączyły się prośby do Boga o łaski różne — o pomyśność dla oręża polskiego, o zdrowie dla męża, o upamiętanie błądzących, o ukrócenie cierpień duszom w czyscu, etc. — wszystko to atoli ściągało się do duszy wojewodziny, gorejącej miłością bezpodzielną.

Pokuty odbyła, jałmużny rozdała i na czele fraucymeru swego na zamek powróciła.

Na wstępie w podwoje marszałek dworu oznajmił jej, że w komnacie czeka starosta buski z panienką.

— A ojciec Bernet?

— Jest i ojciec Bernet...

Wojewodzina wystrzegała się konwersacji z ludźmi świeckimi w nieobecności osób duchownych. Lękała się. Obawy te posuwała tak daleko, że z wojewodą nawet nie konwersowała inaczej, jak w obecności spowiednika. Dowiedziawszy się przeto, że ojciec Bernet jest, pożegnała towarzyszące jej panny i weszła do wymienionej przez marszałka komnaty.

Starosta buski był to człowiek nie zagrażający niebezpieczeństwem żadnem. Siedmdziesiątka minęła mu już od lat kilku. Wyznać atoli należy, że wiek późny nie złamał go bynajmniej — wyglądał krzepko, czerstwo, mimo włosów siwych i miał w postawie akcent rycerski, znamionujący wojownika. Oblicze jego otwarte, wąsem sumiastym ozdobione i surowe, znaczyło blizn kilka, otrzymanych od kozackich rebeliantów, którym się we znaki dawał. Życie całe upłynęło mu w obozie; bitew, potyczek, zasług miał tyle, co włosów na głowie, odznaczał się zaś tem w epoce owej, że pomimo zasług, przyjął jeno, od Jana Kaźmierza jeszcze, starostwo buskie i tytuł jenerała majora od infanterji. Królowie Jan Kazimierz, Michał i Jan III narzucali się mu ze starostwami, województwami i kasztelanjami. Dziękował za to wszystko i służył, a służył bez względu ani na nadwerężony majątek ojczysty, ani na wiek spóźniony. Na Ukrainie zwłaszcza szeroko imię jego słynęło. Nie było kozaka, któryby nie słyszał o Józefie Łączyńskim, który pokoleń dwa szablą okładał i nad Dnieprem, nad Bohem, nad Dniestrem uchodził za niezwyciężonego.

Starosta powstał za wejściem wojewodziny; z nim zarazem podniosła się z siedzenia dziewczynka — cudo nie dziewucha! stworzona zdaje się na to, ażeby była rozkoszą, pociechą i chlubą rodzaju człowieczego: — płowowłosa, modrooka Wielkopolanka, uzbrojona w spojrzenie pociągające i w uśmiech czarujący. Spuściła oczy, uśmiechnęła się i dygnęła. Dyg jej należał do ukłonów tego rodzaju, który znanym jest pod nazwą »maczania świeczek«. Umoczyła przed wojewodziną świeczkę i gdy ta na nią spojrzała, spiekła raka, który jej na jagody, na czoło i aż na uszy wyskoczył. Pokraśniała i ręce przed sobą splotła, słuchając następujących starosty wyrazów:

— Moja córka, pani wojewodzino dobrodziejko... Pragnę gorąco, ażeby na nią przeszła bodaj część jakaś tych cnót, któremi asani dobrodziejka świecisz przed Bogiem i światem...

— Mości starosto... — odparła wojewodzina — w łaskawości jeno swojej mówić tak możesz o mnie... Niestety! daleko się być mniemam od tego, ażebym świecznikiem być miała...

— Jest to cechą dusz wzniosłych, złe mieć o sobie mniemanie. Bądź co bądź jednak, niech Krzysia moja będzie nie taką jak ty, a tylko do ciebie podobną, mościwa pani... nie pragnę czego innego, ani dla niej, ani dla siebie...

— Postaram się zastąpić jej matkę... — przerwała wojewodzina — chcąc snać przerwać potok pochwał, jakiemi ją zalewał rycerz stary.

— Dusza jej matki uraduje się na tamtym świecie...

— Dawno matkę straciła?... — zapytała pani — podchodząc do Krzysi.

— Miała nie więcej jak lat sześć, kiedy nieboszczka żona moja, Panie, świeć jej duszy! — westchnął starosta — świat ten pożegnała...

— Modlisz się ty, Krzysiu, za duszę mamy?... — zapytała wojewodzina panienki.

Zapytana chrząknęła raz i drugi, chciała coś odpowiedzieć, lecz wyrazu pierwszego wykrztusić nie mogła.

— Należy się modlić, moje dziecko... zaczęła wojewodzina pod brodę ją lekko ujmując i gładząc. — O! należy się modlić i modlić i modlić... Wszystko się od tego zaczyna i na tem kończy... W modlitwie mądrość cała... Westchnienie jedno więcej u Boga znaczy, aniżeli zaciekania się najgłębsze...

— Zaiste... — pochwycił ojciec Bernet. — »Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest królestwo niebieskie«...

— Powierzam ci, mościwa pani, dziecko moje... — odezwał się ojciec — pewny, że z rąk twoich wyjdzie ono czyste, jako kryształ...

— A sam, mości starosto?... — zapytała wojewodzina.

— Sam spieszę do hetmanów na Ukrainę...

— Poraby już waszmości spocząć...

A!... — odparł.

— Modlitwie i rozmyślaniu o Bogu, dnie starości poświęcić...

— Do wojaczkim się wciągnął...

— Wciągnienie się do modlitwy asanu dobrodziejowi łatwiej przyjdzie...

— Niechaj już... — odrzekł stary, ramionami z lekka rzucając. — Nie zaniedbuję modlić się rano i wieczorem i wzdychać do Pana w potrzebie każdej...

— Zdawkowa to moneta, mości starosto... — wtrącił półgłosem ksiądz Bernet.

— No... — podchwyciła wojewodzina, zwracając się do dziewczyny — będziemy się za starostę modlili... Rozbierzemy na nas dwie ciężar ten, który, wierz mi dziecko moje, słodkim jest i do dźwigania lekkim... Ile jej lat?... — zapytała.

— Szesnaście... siedmnasty... — odpowiedział ojciec.

— Radaś temu, że zostaniesz u mnie?..

— O... — zaczęło dziewczę, chrząknęło i na tem odpowieź zakończyło, dodawszy do odpowiedzi tej uśmiech, który oblał ją blaskiem uroczym.

— Rozpoczniesz, dziecko moje — podchwyciła wojewodzina wnet — pobyt u mnie od spowiedzi z życia całego... Czy wielebność wasza, ojcze duchowny, masz czas?... — zapytała, do księdza z zapytaniem się zwracając.

— Hm... to jest... — odparł duchowny. — Obowiązki... zajęcia... Jeżeli jednak taką jaśnie wielmożnej pani wojewodziny wola, to... chętnie zajmę się owieczką tą...

Piękna owieczka figlarnie nieco na księdza z ukosa spojrzała.

— Mnie się zdaje — odrzekła wojewodzina — że trzeba się nią ze szczególną zająć troskliwością, tem bardziej, że chodzi tu o spowiedź powszechną...

Zalotność spojrzenia przez wojewodzinę podchwycona, zalotność wrodzona, nadana od natury wszystkim płci żeńskiej tworom, wywołała snadź tę jej względem Krzysi troskliwość szczególną. (C. d. n.)

PAMIĘTNIKI POWSTAŃCA

z 1863 i 1864 r.

Przejrzał i przypisami uzupełnił

ZYGMUNT LUCJAN SULIMA.

KSIĘGA DRUGA.

CHMIELIŃSKI.

(Ciąg dalszy.)

II.

Treść: Bitwa pod Przedborzem — Taczanowski pod Sędziejowicami i Kruszyną — obóz w Żeleźnicy i oddział Iskry — ściganie nas przez Moskwę — bitwa pod Ciernem — nasze straty — utarczki pod Warzynem i Czarncą — moje błądzenie po lesie — obóz w Drochlinie.

Po piętnastu czy szesnastu dniach spokojnego pobytu w Chlewskiej Woli, dano nam znać, że Moskwa wyruszyła z Kielc i już jest niedaleko. Nad wieczorem przeto zwinięto obóz i wyruszyliśmy do Czaryża — tu odpocząwszy chwilkę puściliśmy się dalej ku Przedborzowi, mając za sobą nieprzyjaciela ciągle na piętach. Przeszedłszy Maluszyn, zatrzymaliśmy sie w małej wiosce około Przedborza. Ledwie popuściliśmy szkapom popręgi i siedli do przygotowanego śniadania, gdy strzał dany przez pikietę, zaalarmował cały obóz a niebawem ujrzeliśmy i pikietę, gnaną przez kozaków i dragonów.

Piechota nasza stojąc w porządku, rzęsistym ogniem wstrzymała szalony ich zapęd — stanęli oczekując nadejścia swojej piechoty i artylerji, która rzeczywiście niedługo nadbiegła i rozpoczęła ogień, wyrzucając od czasu do czasu po parę granatów, które nam żadnej szkody nie czyniły, padając bowiem nie pękały wcale, lub przenosiły nas. Rozpoczęło się powolne cofanie do lasu, odległego przynajmniej o cztery wiorsty. Zaledwie przeszliśmy Przedbórz, gdy spostrzegliśmy, że nieprzyjaciel zaprzestaje pogoni i obiera zupełnie przeciwny kierunek. Nie mogliśmy wyjść z podziwienia, dopiero przybywszy do Czermna, wyjaśniono nam tę zagadkę. Oddział Iskry stojący koło Przedborza, usłyszawszy strzały, domyślając się, że to bitwa powstańców z Moskwą, wyruszył z pomocą i on to właśnie w czasie naszego przechodu przez Przedbórz wychylił się z lasu na czyste pole i ściągnął na siebie uwagę nieprzyjaciela.

Utarczka pod Przedborzem była prawie bez rezultatów, gdyż Iskra schował się napowrót do lasu a Moskale nie mieli jakoś ochoty ścigać go. Odpocząwszy chwilkę w Czermnie, ruszyliśmy dalej do Talkowa a ztąd do Skotnik. W lesie rozłożyliśmy się obozem — ludzie pra-

wie upadali ze zmęczenia i głodu — całą dobę nic w ustach nie mieliśmy a koni nie było nawet czem napoić. Tutaj dowiedzieliśmy się, że po wyjściu naszem z Czermna, Moskwa może w godzinę później podkradła się, ale zastała tylko ciepłe miejsce. W Skotnikach przybyło do nas kilku kawalerzystów z końmi i bronią z oddziału Taczanowskiego, rozbitego ostatecznie pod Kruszyną i opowiadali nam o niedołęztwie tego dowódzcy, który sformowawszy przeszło tysiąc ludzi samej kawalerji, włóczył się po kraju bez żadnej korzyści wycieńczając jedynie takowy do ostatka. Byli oni świadkami naocznymi i uczestnikami zwycięztwa nad 50 kozakami kubańskimi, dowodzonymi przez rotmistrza Grabbe, pod Sędziejowicami niedaleko Błaszek.

Pan Grabbe, rotmistrz huzarów, wespół z trzema swymi kolegami, prosił aby mu dano 50 kozaków kubańskich i twierdził, że z tą siłą rozbije cały oddział Taczanowskiego. Przychylono się do jego prośby i niezwłocznie wyruszył w pogoń za powstańcami. Pod Sędziejowicami natknął się na cały dwutysięczny oddział Taczanowskiego. Sądził on, że powstańcy na sam widok moskiewskich mundurów zaczną uciekać, że łatwo odniesie zwycięztwo, które ozdobi jego piersi orderami, a tymczasem pokazało się zupełnie co innego — powstańcy na atak odpowiedzieli atakiem. Grabbe spostrzegł się ale za późno, przekonał się, że nawet kozakami kubańskimi atakować taką masę jazdy jest rzeczą ryzykowną. Postanowił więc cofnąć się, niestety! jedyna pozostała droga odwrotu została przez Taczanowskiego zajętą. Moskale literalnie byli otoczeni, poddać się po tylu przechwałkach, było to samo co narazić się na ogólną śmieszność i szykanę — zamierzył zatem bronić się do ostatniego i w tym celu schronił się na cmentarz, kazał ludziom zsiąść z koni i rozpoczął ogień do nadciągających powstańców. Rachował może na jaką szczęśliwą okoliczność, która mu poda sposób wydobycia się z tego ze wszech miar smutnego położenia. Taczanowski ze swej strony, widząc taką małą garstkę, wysyła parlamentarza, żądając poddania się — odpowiedziano wystrzałami. Przypuszczono atak konno, strzelajac z karabinów, co jednak okazało się bezowocnem i niepraktycznem, kozacy bowiem schronieni za drewnianem oparkanieniem cmentarza razili celnie nacierających i zadawali ciężkie straty. Kazano więc zsiąść z koni i przypuszczono atak pieszo. Zawiązała się walka krwawa, kozacy drogo chcieli sprzedać życie. Powstańcy rozdrażnieni oporem takiej garstki, chcieli koniecznie postawić na swojem, żeby nie okryć się śmiesznością i tchórzostwem. Walczono zawzięcie, w końcu liczba musiała wziąć górę, wystrzelano prawie wszystkich, pozostało kilku rannych i na pół umierających. Grabbe zginął, ocalało tylko dwóch jego towarzyszów, którzy się dostali do niewoli. Niestety! zwycięztwo to kosztowało nas około 80 ludzi w rannych i zabitych. Zacięty opór Moskali na Sędziejowickim cmentarzu, jakiż przykład dla nas!

Wkrótce po tem zwycięztwie Taczanowski został rozbity zupełnie pod Kruszyną a z jego tysiącznego oddziału i śladu nie pozostało. Sam schronił się zagranicę *).

Ze Skotnik wyruszyliśmy lasami pod Pilczycę do Żeleśnicy, miejscowości położonej wśród nieprzebytych lasów i trzęsawisk. Tu Chmieliński postanowił się zatrzymać dłużej, wypocząć po tylu marszach i przyprowadzić oddział do dawnego porządku. Staliśmy tu ośm dni a obok nas w Olesznie, Iskra z czterystu ludźmi, gdzie jak nas dochodziły wieści, straszny panował nieład i działy się różne oburzające nadużycia, aprobowane a przynajmniej tolerowane przez samego dowódzcę.

Z Żeleśnicy wysłany pewnego pięknego poranku rekonesans pod Krasocin, wrócił z wiadomością, że Moskwa szybkim marszem zbliża się ku nam. W nocy przeto tego samego dnia, wyruszyliśmy do Łachowa za Włoszczowę, a ztąd do Żelisławic. Tu odpocząwszy kilka godzin, udaliśmy się przez Rogienice do Kanic pod Jędrzejów. Moskwa trop w trop szła za nami. Z Kanic wyszedłszy, koło godziny drugiej w nocy stanęliśmy na niewielkiej polance, otoczonej zewsząd lasami dla chwilowego wypoczynku. Noc była straszliwie ciemna, leżąc przy koniach i trzymając cugle w ręku drzemaliśmy tak do świtu, aż tu naraz gdy cokolwiek zaczęło się przejaśniać, widzimy nie dalej, jak o 50 kroków kozaka na siwym koniu, prawie w środku obozu naszego, a nie długo usłyszeliśmy strzał jeden i drugi na pikiecie. W tej chwili przyskoczył Chmieliński i kawalerję z furgonami wysłał na przód, a sam na czele piechoty, pozostawiwszy przy sobie trzech kawalerzystów, w liczbie których i ja byłem, zaczął się gotować do odporu i zaraz z pojawiającą się piechotą nieprzyjacielską rozpoczęła się gęsta strzelanina. Działo się to w lesie, z którego Moskwa chciała wyparować naszą piechotę na czyste pole, co wreszcie po półgodzinnej walce udało jej się. Wtenczas huknęły armaty i grad kartaczy posypał się na nas. Żołnierz nasz, nie zmięszany tem, w wzorowym porządku, w postawie nakazującej poszanowanie, cofał się zwolna, zasłonięty łańcuchem tyralierów i sypiąc rzęsisty ogień na długie i głębokie linie wroga. Kawalerja zaś nasza, którą wyprawiono naprzód, wpadła jak kamień w wodę, przez całą bitwę nie widzieliśmy jej wcale. Postępując na czele piechoty, wraz z Chmielińskim, poczytywani za dowódzców, obsypywani byliśmy gradem kul i kartaczy. Piechota moskiewska postępowała za nami nie dalej jak o 500 kroków. Naraz koń mój podskoczył, kula mu przeszyła nogę i zaczął kuleć, a tu z boku widzimy, że zajeżdża nam drogę chmura dragonów usiłując nam przeciąć odwrót. Szczęściem przytomny oficer piechoty naszej Tylman, skierował na nich cały ogień swej kompanji i za chwilę widzieliśmy tylko ogony końskie. W istnie powstańczym nieładzie rozpierzchli się po całem polu, odsadzając się od nas najmniej na dwie wiorsty. Gdyby byli śmiało przypuścili atak, bylibyśmy zgubieni, widziałem na twarzy Chmielińskiego żywy niepokój w chwili gdy dragoni rozwijali się do ataku.

Pod strasznym ogniem artylerji i piechoty, na przestrzeni czterech co najmniej wiorst, dociągnęliśmy do Cierna, za którem rozpoczynał się o kilkaset kroków las. Moskale zaczęli zwalniać kroku, strzały były coraz rzadsze i po chwili wszystko ucichło. Przed samem Ciernem wypuszczony granat, rozciął na pół jednego żołnierza, biedak nie czuł nawet chwili zgonu*).

Upadając ze zmęczenia przybyliśmy do Rakoszyna, gdzie porachowawszy się, ujrzeliśmy wielki ubytek w naszych szeregach. Zabitych mieliśmy 80 i tyluż rannych, kilkudziesięciu dostało się do niewoli w samym początku bitwy. Moskiewskie straty jak zwykle były mniejsze, jednakże w zabitych i rannych, których zwieźli do Cierna liczyli 70 ludzi. Tutaj zginął kapitan drugiej kompanji Skąpski były oficer austrjacki i Ropolewski, obaj oficerowie odważni i zdolni.

Co do mnie będąc właściwie po raz pierwszy świadkiem zawziętej bitwy, przyznać muszę, że jedynie piechota coś znaczyła i jakie takie korzyści mogła odnosić. Odwaga i porządek cofającej się naszej piechoty pod Ciernem, był wzorowy i wcale nie zakrawał na bezładną ucieczkę. Czengiery nawet patrzący przez lunetę na całą bitwę z zadziwieniem miał powiedzieć: „patrzcie! to oni się biją na prawdę.“ Cóż z tego, kiedy pomimo zalet i przymiotów wojskowych odznaczających nasze garstki powstańcze, przeznaczeniem ich było ciągle uciekać i uciekać.

W Rakoszynie złączyła się z nami kawalerja, która tak niefortunnie prysła odrazu z pola bitwy. Usłyszeli też ciężkie wyrzuty od Chmielińskiego, który przysiągł, że jeżeli jeszcze raz dopuszczą się czegoś podobnego, każe dziesiątkować tchórzy. Po czterogodzinnym może wypoczynku doszła nas wiadomość, że Moskwa zbliża się ku nam, i widocznie nieprzyjaciel postanowił nas rozbić do szczętu. Ruszyliśmy więc dalej, a ja na moim postrzelonym koniu ledwie podążać mogłem. Po dwudziesto-czterogodzinnym marszu przybyliśmy nad wieczorem do Warzyna. Rozkazano nam na chwilę spocząć, ale w parę godzin spoczynek został przerwany strzałem danym na pikiecie i w kilka chwil ujrzeliśmy pędzących dragonów. Piechota nasza stojąca w pogotowiu, przyjęła ich rzęsistym ogniem i to, jak zwykle, powstrzymała ich nieco. Pozsiadali z koni i zaczęli powolny, dobrze utrzymany ogień, który jednak nie czynił nam żadnej szkody. Był to tylko manewr, usiłowali nas zabawić, chcąc się doczekać swej piechoty, która w istocie w kwadrans może wraz z artylerją nadciągnęła i zaraz rozpoczęła ogień. Z wyrzuconych granatów jeden zapalił nowo wybudowaną gorzelnię, która cała stanęła w płomieniach.

Chmieliński widząc się znowu pod naciskiem przeważnych sił, począł się cofać ze swoim, znacznie uszczuplonym oddziałem, jak najspieszniej do pobliskiego lasu, tej jedynej i naturalnej naszej fortecy. Dopadłszy takowego, czuliśmy się już na wpół bezpieczni, ile, że nieprzyjaciel zwolnił pogoń i tylko kiedy niekiedy dochodził nas strzał karabinowy. Po forsownym marszu przybyliśmy do Oksy, a odpocząwszy chwilkę, ruszyliśmy do Nieznanowic, gdzie pierwszy raz po trzechdniowej rejteradzie, pozwolono nam zdrzemnąć się nieco, nierozkulbaczając jednakże koni. Około 12-ej w południe dano nam znać, że Moskwa postępując wciąż naszymi śladami, znajduje się zaledwie o pół mili od nas. Wyruszyliśmy więc pośpiesznym marszem przez Włoszczowę, Lachów do Czarncy, gdzie nieprzyjaciel w lesie dopędził nas i na przywitanie posłał nam parę granatów. Las się zaraz kończył a przed nami roztwierało się czyste pole. Położenie więc było nie do pozazdroszczenia i resztka naszej piechoty musiałaby koniecznie być zniszczoną. Znużenie jej nie pozwalało nawet myśleć o ucieczce, przyjąć zaś bitwę z przeważną siłą, było to samo co dać się wyciąć

*) Taczanowski pod Sędziejowicami bił się dnia 26. sierpnia 1863 r.

*) Bitwa pod Ciernem stoczona była d. 22. września 1863 (przyp. wydawcy).

w pień. Jakem powiedział byliśmy na skraju lasu, i jedna chwila wahania albo nie zdecydowania się, a rozbicie pewne i zupełne.

W takiem położeniu rzeczy, Chmieliński rozkazał Tylmanowi skręcić w bok lasu i iść gdzie oczy poniosą, sam zaś z kawalerją wyskoczył na pole i sformował nas w dwa rzędy, gotując się do odporu. Był też i czas potemu, gdyż dragoni i kozacy już się zaczęli wychylać z lasu i szykować do ataku. Niepewność tylko, co się zrobiło z naszą piechotą, czy nie urządzono jakiej zasadzki, na chwilę ich powstrzymała od rzucenia się na nas. Stojąc tak naprzeciw siebie, nie dalej jak o sto kroków, oczekiwaliśmy wzajemnej napaści. Śmiałość nasza dotąd niepraktykowana, wydała im się czemś nienaturalnem i podejrzanem, jakoż dziś jeszcze nie mogę pojąć dla czego się wahali, albowiem gdyby byli przypuścili szarżę jak się należy, byliby nas rozbili w puch.

Rozpoczęły się strzały i pojedyncze harce z jednej i drugiej strony i trwały może z kwadrans, aż Chmieliński zobaczywszy wychylającą się z lasu rosyjską piechotę, dał znak do odwrotu. Ruszyliśmy z początku stępa, a potem pędem. Tu już bez porządku i komendy zaczęła się ogólna ucieczka i pogoń Moskali. Byłem wtedy w strachu potężnym. Konia mego rannego zostawiłem w Rakoszynie, a na to miejsce dostała mi się jakaś nędzna i chuda szkapa ze źrebięciem, której ani batem, ani ostrogami rady dać nie mogłem, i na niej to miałem obecnie odbywać śmiertelne wyścigi. Poleciłem się Bogu oczekując na pewno śmierci lub niewoli, lecz jakież było moje zdziwienie, gdy owa nędzna szkapa, na którą żadne rzeczy nie pomagały, czy z tchórzostwa, czy przez miłość własną, dosyć, że przodowała wszystkim i leciała „z wiatrem w zawody". Zdawałoby się, że zapał jaki ją ożywiał podsycany był panicznym strachem jej pana.

Wyścigi te miały miejsce na przestrzeni pięciu wiorst, a Moskwa, mianowicie kozacy na lżejszych koniach dojeżdżali nas coraz lepiej, rąbiąc pozostałych w tyle. Dopadliśmy przecie miasteczka Secymina i to powstrzymało na chwilę szalony pościg Moskwy, która się obawiała jakiej zasadzki. Ten moment wahania się ocalił nas, za Secyminem bowiem był las, którego dopadłszy czuliśmy się ocalonymi. I tak też rzeczywiście się stało, Moskwa zwolniła pogoni a widząc nas wjeżdżających w krzaki, poprzestała jej zupełnie, obrabiając resztki naszych, którym konie ustały. W moich oczach kozacy, pomimo rzucenia broni na znak poddania się, zrąbali jednego biedaka.

Tak się jakoś złożyło, że w lesie cały oddział straciłem z oczu i sam jeden, wązką jakąś dróżyną puściłem się na chybił trafił, i po kilku minutach dostałem się w taką gąszcz, że kroku dalej postąpić nie mogłem. Zwróciłem się więc na lewo, gdzie świeciła jakaś dróżyna i wyjechałem na drogę którąśmy uciekali. O staje może spostrzegłem kilku kozaków zajętych obdzieraniem czy też dobijaniem naszych, oczywiście zawróciłem do lasu i po niejakim czasie śpiesznej jazdy, wydostałem się na jakąś łączkę bagnistą, której przejechać w żaden żywy sposób nie było można. Po licznych i mozolnych usiłowaniach udało mi się nakoniec ją przebyć i wjechałem do nieznanej mi wioski a spotkawszy chłopa, dowiedziałem się od niego, że znajduję się pod Rudnikami. Skierowałem się na małe wzgórze sterczące śród pola i spostrzegłem rzeczywiście znaną mi wieś, ale zarazem w oddaleniu 2-ch może wiorst długi szereg kawalerji. Po bliższem rozpatrzeniu się, przekonałem się, że to są nasi rozbitki, puściłem się więc w tym kierunku. Przybywszy do Rudnik, wywołałem w swych kolegach radośne zdziwienie, mieli mię bowiem już za straconego a nawet jeden zapewniał, że widział mnie spadającego z konia. Widocznie pod wrażeniem granatów i dragońskiej szabli troiło mu się w głowie. Radośniejsze jeszcze było przywitanie mojej kobyły ze swym synkiem, który odłączył się od matki i uważał za bezpieczniejsze trzymać się całego oddziału.

Opłakany stan przedstawiał nasz, nie dawno tak świetny oddział; ludzie zbiedzeni, konie ledwo dźwigające swych jeźdźców, nieznany los piechoty i obawa nowego najazdu, odbierały ducha najenergiczniejszym i najwytrwalszym. Byliśmy tak strudzeni tą ciągłą pogonią i brakiem odpoczynku, że każden padał gdzie stał. Ludzie pomimo surowego rozkazu spali na pikietach i gdyby nieprzyjaciel uderzył na nas tej nocy w Rudnikach, lub zaalarmował, niewiem do czegoby doszło. Prawdopodobnie porżnąłby nas jak baranów, lub rozbiegłoby się wszystko do reszty.

Pierwszy to raz właściwie Moskwa nas tak zawzięcie i z taką zajadłością ścigała; chciała nas rozbić i zniszczyć ze szczętem i byłaby tego dopięła, gdyby miała trochę więcej wytrwałości. Co do nas, wydostawszy się raz z jej pazurów, odżywiając się nieco, oczekiwaliśmy ze spokojem dalszych walk i cierpień, nieodłącznych od życia jakie wiedliśmy. (C. d. n.)

O PRASIE PROWINCJONALNEJ

napisał

MARCELI TURKAWSKI.

(Dokończenie).

VII.

Przed kilku laty usiłowało tutejsze pismo »*Wieść*« uczynić zadość niezbędnej potrzebie: stworzenia organu autonomicznego za pomocą licznych korespondencji, gdzie prócz krótkich sprawozdań z czynności i posiedzeń władz autonomicznych, podawano nieraz cenne uwagi, a nawet rozprawy, dotyczące administracji i samorządu naszej prowincji. Lecz że redakcja za mało poświęcała miejsca innym objawom życia prowincjonalnego, i nie połączyła sztucznie pożytecznego z przyjemnem, musiała zwinąć swe wydawnictwo, nie znalazłszy spodziewanego poparcia.

Boleśnie to zaiste wyznać, że tak wielki kraj koronny, liczący blisko 6 milionów ludności, o 74 powiatach, 83 miastach, 230 miasteczkach i 11·060 wsiach, nie posiada osobnego pisma, któreby li tylko było poświęcone wewnętrznym sprawom, tj. rozwojowi samorządu krajowego i administracji autonomicznych organów. Wydział krajowy, nie mając własnego pisma urzędowego, posiłkuje się urzędową »*Gazetą lwowską*« i innemi dziennikami, w których od czasu do czasu umieszcza wyciągi z powziętych na posiedzeniach uchwał, a zwyczajne sprawozdania z swej czynności przedkłada rzadko zwoływanemu Sejmowi.

Czynności n. p. Rady szkolnej, instytucji przecież krajowej, a tylko z Namiestnictwem złączonej, otacza zawsze gruba tajemniczość, bo nikt przecież za wystarczające nie będzie uważał spóźnionych roczników p. t. »*Stan szkół ludowych* itd.«, gdzie o szkołach średnich i o właściwej działalności Rady szkolnej nie ma mowy, a tem mniej nie będzie się zachwycał kilku artykułami, jako wyciągiem z tego dzieła, przez radcę Henryka Schmitta zrobionym.

Już dawno powinien był Wydział krajowy albo Sejm dać inicjatywę w tym względzie i stworzyć własny *organ*, zamiast używania sprawozdań stenograficznych z posiedzeń sejmowych, gdzieby prócz szczegółowego obrazu życia autonomicznego Galicji, np. urzędowych sprawozdań Wydziału krajowego i rad powiatowych, Rady szkolnej, rad okręgowych i miejscowych, rad miejskich i wiejskich gmin, uwzględnione zostały stosunki ekonomiczne, handlowe, naukowe itp. Taka gazeta, pod okiem i zarządem najwyższej władzy autonomicznej, broniłaby na każdym kroku naszego samorządu, budziła upadające na prowincji i uśpione jednostajnością umysły do żywszego współdziałania w życiu społecznem, wskazywałaby drogi prawne i sposoby urzeczywistnienia życzeń i dobra kraju, i oddałaby z pewnością ogromne samorządowi i oświacie usługi. Gdyby do tego rzeczone pismo było dobrze redagowane, w swych łamach zamieszczało wzorowe powieści, szkice z dziejów miast i wsi, ogółem posiadało dobry fejleton i kronikę naukową, niewątpliwie miałoby ono pokup i własnymi dochodami opędziło wydatki redakcji i administracji.

Jednak ponieważ do urzeczywistnienia takiej myśli u nas jeszcze zbyt daleko, niechby przynajmniej w szczupłym zakresie podjęły ten cel i kierunek pisma prowincjonalne dla pewnych obwodów. Według naszego zdania, mogą i powinny nawet powstać takie gazety w następujących miastach Galicji: w *Wadowicach* (dla okręgu geograficznego od granicy Szlązka i Królestwa Polskiego aż po Kraków i Nowy Targ), w *Tarnowie* (dla obwodu aż po Wisłę na północ, a Ciężkowice na południe), w *Nowym Sączu* (od Nowego Targu aż do Biecza), w *Jaśle* (dla okolicy poblizkiej), w *Rzeszowie* (dla całego północnego obszaru między Wisłą a Sanem), w *Samborze* (dla podgórza Sanoka, Staregomiasta, Drohobycza i Stryja), w *Brodach* dla okręgu z Sokalem aż po Złoczów), w *Tarnopolu* (aż do Czortkowa i granicy), w *Kołomyi* (dla całego Pokucia), zaś w *Przemyślu i Stanisławowie* mogłyby pozostać dotychczasowe pisma, stosownie zmienione, jakeśmy o tem już wyżej mówili.

Ogółem powiedziawszy: kilka powiatów sąsiednich z miastami tamże leżącemi, mogłoby mieć swój oddzielny organ, którego siedzibą byłoby większe miasto, gdzie znamienitszy ruch naukowy i handlowo-ekonomiczny gromadzi często sąsiednie obywatelstwo, gdzie istnieją średnie zakłady naukowe, sąd obwodowy, gremialne poczty i główne węzły środków komunikacyjnych. Takie gazety mogłyby nosić odpowiednie nazwy, określające zakres i granicę ich działania, wzięte od przyrodzonego położenia i geograficznych własności kraju, np. Dunajec, Dniestr, Prut, Seret lub Podkarpacka, Podtatrzańska, Naddniestrzańska, Czarnohorska Gazeta, lub Podolanin, Pokucianin, Naddniestrzanin itp. Rozumie się, że o pomijaniu całkowitem życia stolic, jak Lwowa i Krakowa, nawet mowy być nie może, zawsze ten przedmiot musiałby dla siebie właściwe znaleźć miejsce, główny jednak nacisk powinien być

tak położony na własną okolicę, dla której przeważnie wychodzi, aby wyczerpująco traktował o sprawach tego okręgu dotyczących, aby był pożytecznem pismem lokalnem.

VIII.

Sumienne nasze przeświadczenie, zaczerpnięte z dłuższego pobytu w prowincjonalnych miejscowościach, skłania nas do pyczynienia następujących uwag, do skreślenia pobieżnego szkicu dążenia i pracy, jakie koniecznie winny przewodniczyć mężom poświęcenia, którzyby jednego z nami będąc zdania, rzucony przez nas plan wykonać zamierzali.

Najpierw powinno takie pismo być społeczne, literacko-naukowe i gospodarsko-handlowe; wyjątkowo tylko może ono zawierać bardzo krótki przegląd polityczny, gdy się konieczna okaże tego potrzeba. Jeśliby nie mogło ono dwa lub trzy razy tygodniowo wychodzić (co w każdym razie byłoby już dlatego do życzenia, że częstem przypominaniem się przyciągałoby do siebie i zajmowało uwagę czytelników), to co najmniej powinno być tygodnikiem, co niedzielę wychodzącym, W tym razie, gdyby treść przeznaczona do każdego numeru była za bogatą a zajmującego materjału z bieżących spraw przybywało, możnaby wtedy dołączać dodatek literacki, powiększyć przy pomyślnych okolicznościach format, albo częściej gazetę tygodniowo wydawać.

W osobnem ogłoszeniu (rozesłanem w kilku tysiącach egzemplarzy po całej okolicy i po kraju) trzebaby zaznajomić ogół z szczegółowym programem mającego się wydawać pisma, określić ściśle przestrzeń, ilość powiatów i granice, które ono obejmie i któremu szczegółowe poświęci rozbiory. To, co się w takim prospekcie ogłosi i obieca, najskrupulatniej należy wykonać, dlatego lepiej będzie, jeśli się skromniejsze poczyni obietnice a szczerze je dopełni, niż górnolotnemi obiecankami wzbudzi u wielu powątpiewanie i niewiarę.

Rozkład każdego numeru, w formacie średniego arkusza, tak powinien być utworzony: 1. *wstępny artykuł* zawierać powinien krótki pogląd na wewnętrzne kraju sprawy, rozbiór ważnych kwestji, będących obecnie na porządku dziennym, a to takich, które wkraczają w sferę samorządu, naukowości, szkolnictwa, handlu, przemysłu, rolnictwa itd., a szczególnie dla pobliskiej okolicy mają swe zastósowanie, na którą to rubrykę powinny dwie szpalty wystarczyć; 2. treściwe *sprawozdania* z posiedzeń rad powiatowych, miejskich, rad szkolnych okręgowych i miejskich, sekcji itp., w tym okręgu się znajdujących, dalej z posiedzeń rozmaitych stowarzyszeń i sądów przysięgłych; 3. *kronika* wypadków miejscowych i okolicznych, wiadomości z kraju i ze świata, ciekawe zdarzenia itp., ogółem pożądaną jest w tym dziale różnolitość i humorystyczne przedstawienie rzeczy; 4. *przegląd* naukowy i bibljograficzny, zapiski gospodarskie, handlowe, targowe itd., edykta sądowe i konkursa; 5. *fejleton* może obejmywać dolną część dwóch pierwszych stronnic; na frontowej stronie powinny w kilku kolumnach być umieszczone krótkie powiastki oryginalne lub tłumaczone, zabawne szkice powieściowe; na odwrotnej zaś stronie rozprawy i szkice z literatury i historji polskiej, z dziejów miast i okolicy miejscowej, naukowe kroniki itp., treściwe a zajmujące opowiadania oraz utwory poetyczne. Na czwartej stronnicy inseraty i ogłoszenia. Nieskazitelność zasad, należyta powaga, wytrawność sądu i czystość języka są głównymi obowiązkami każdego pisma, na co też i prowincjonalna prasa wielką uwagę kłaść powinna.

IX.

Co się tyczy samej osoby redaktora, to u nas przynajmniej, gdzie w walce stronnictw religia ważną odgrywa rolę, powinien być on religii rz. kat., bo wtedy znajdzie moralne poparcie u duchowieństwa i obywatelstwa wiejskiego; powinien być prawdziwych przekonań polskich, zwolennikiem spokojnej pracy organicznej, miłośnikiem ludu, znawcą miejscowych i okolicznych stosunków; winien mieć w okolicy szeroko rozgałęzione wpływy, i w tym celu zwiedzać szęsto główne miejscowości, należące do jego okręgu, zaznajomić się z wybitniejszemi osobistościami, np. z marszałkami powiatowymi, burmistrzami, starostami, proboszczami, dyrektorami i nauczycielami szkół, sędziami, pocztmistrzami itd., postarać się o popieranie interesów swej gazety u możnych i chętnych osób, uzyskać u władz przywilej ogłaszania miejskich i wiejskich edyktów w inseratach. Przytem zażywając dobrej sławy, będzie redaktor w możności, za pośrednictwem sekretarzy, mieć regularne sprawozdania urzędowez z posiedzeń i odpisy budżetów, zaś przy pomocy bezstronnych i sumiennych korespondentów najdrobniejsze doniesienia, zajmujące ogół i obchodzące pewną miejscowość — w ogóle będzie miał pewne, stałe i wiarygodne współpracownictwo po za obrębem miejsca, gdzie rzeczona gazeta będzie wychodziła.

Stokroć korzystniej i lepiej byłoby, gdyby wydawca lub redaktor takiego pisma prowincjonalnego, będąc zamożnym, sam złożył przepisaną kaucję, w listach kredytowych lub obligacjach indemnizacyjnych, gdyby oraz przeznaczył pewną sumę jako zakładowy kapitał wydawnictwa, jednak nie w nadziei, że się wkrótce koszta wrócą i będzie można wielkie zyski ciągnąć, lecz przeciwnie, złożyć takowy winien na ołtarzu ojczyzny i poświęcić go na początek, byleby pismu nadać rozgłos i zapewnić sobie stałą listę prenumeratorów. Przedwstępne i początkowe wydatki powrócą się nie w pierwszych miesiącach wydawnictwa, ale dopiero po upływie dłuższego czasu, na co z góry trzeba być przygotowanym.

Jeżeliby taki wydawca nie był zarazem właścicielem drukarni, powinien z zarządcą miejscowej drukarni zawrzeć kontrakt notarjalny, któryby ochronił go przed możebną niesumiennością i nieregularnem drukowaniem gazety. W umowie takiej można wymagać, aby drukarz postarał się o prasę pośpieszną, wyraźny druk i dobry papier, kilku zecerów i uczniów, umówić się o ilość egzemplarzy i cenę za każdy numer arkuszowy, krótko mówiąc: uporządkować skrupulatnie sprawę druku. W pierwszym okresie wydawnictwa należy bić większą ilość egzemplarzy czyli numerów, rozesłać je między bliższą i dalszą publiczność *na okaz* i powtarzać to częściej za każdym kwartałem. Do tego trzeba mieć główny skład w miejscu, a częściowy w główniejszych miastach obwodu, wyrobić sobie pośrednictwo u urzędów pocztowych, księgarzy i kupców za zwyczajnym rabatem, a wysyłając kolporterów na prowincję, umówić się z przemysłowbami i kupcami, aby to na wspólny koszt się działo. Redaktor winien zajmować porządny lokal wraz z administracją, a względnie z drukarnią, w razie potrzeby pełnić obowiązki administratora, posiadać własną bibljotekę, bogatą w dzieła encyklopedyczne, z różnych gałęzi nauk, np. społecznych, ekonomicznych, naukowych itd., aby i sam według potrzeby mógł mieć wskazówki. i na zawołanie stronom dostarczyć odpowiedzi.

Obok tego przedewszystkiem niezbędnem jest dla redaktora obeznanie się gruntowne z ustawą prasową, której postanowienia tem ściślej wykonywać należy, iż najmniejsze ich zaniedbanie i nieznajomość może wydawnictwu niepowetowane szkody przynieść. Przezorne i oględne redagowanie gazety nie narazi jej na konfiskatę, co zawsze więcej szkody, niż reklamy stwarza. Wobec panującej walki stronnictw, już to politycznych i religijnych, już to społeczno-ekonomicznych i naukowych ma redakcja zająć wyższe stanowisko bezstronności, wolnej od schlebiania jednej partji z uszczerbkiem drugiej, niech wypowiada jednak swe zdanie śmiało, gdy tego wymagają zasady i narodowe dążenia, nie dotykając wprost jednostek, lecz nie obawiając się przesądów lub ubocznych, małoznaczących krzyków i plotek. Najfatalniejszym byłby dla młodego pisma krok ze strony redaktora, bo znamionowałby rychły prasy upadek, gdyby wdając się w niewczesną połemikę waśnił pojedyńcze stany, stronnictwa i osobistości między sobą, zamiast rozumnie i spokojnie goić blizny społeczęństwa rozjątrzał je propagandą szkodliwych a jednostronnych teoryj, gdyby taki redakto posunął swą jednostronność do schlebiania prywacie, jednostkom, od których spodziewałby się za to wynagrodzenia, lub zdał się im na łaskę i niełaskę, te bowiem z czasem go opuszczą i zniesławi dobre swe imię, straci mir i będzie zmuszony wydawnictwo zwinąć. Przeciwnie jeśli nieskazitelność i prawość zasad podyktuje redakcji wytrawną, choćby surową krytykę stosunków miejscowych lub okolicznych, opartą na faktycznych dowodach i należytem zrozumieniem rzeczy, owianą rzetelną miłością prawdy i żądzą zapobieżenia złemu, wtedy znajdzie ten sposób i ten kierunek racjonalny uznanie, którego skutkiem będzie ścisłe połaczenie się pewnej liczby czytelników i obywateli dobrze myślących w celu szerzenia głoszonych przez redakcję zdań i wskazówek, a za ich pomocą usuną się z czasem istniejące braki i skrzywione pojęcia w społeczeństwie. W każdym artykule powinna się przebijać powaga i godność.

Już powyżej mówiliśmy, że redakcja w pierwszym rzędzie powinna opierać się na wpływowych sferach, a więc na prowincji na marszałkach i burmistrzach; (o urzędnikach rządowych nie można nawet myśleć) lecz winniśmy zasrzedz iż nie należy tego dosłownie rozumieć, t. j. jakobyśmy radzili ślepe poddanie się woli, rozkazom i skinieniom tych powag prowincjonalnych. W takim razie prasa straciłaby znamię organu publicznego, byłaby tylko wyrazem opinii osobistej lub stronnictwa, przeciw czemu żywo przemawiamy. Owszem wystarczy redakcji moralne poparcie naczelników powiatu i miast, jeżeli ci uznając potrzebę wydawnictwa wspomogą łamy sprawozdaniami, ogłoszeniami, a nawet własnemi

uwagami, zaczerpniętemi z doświadczenia i znajomości potrzeb miejscowych. Z drugiej strony, ponieważ głównie chodzi o rozwój i rozszerzenie pisma, łatwo będzie poznać bystremu znawcy z listy prenumeracyjnej, jakie żywioły czują potrzebę tej prasy, i gdzie można znaleźć chętnych i życzliwych przyjaciół pracy organicznej. Owóż z zasady a choćby w interesie wydawnictwa nie należałoby ostentacyjnie występować przeciw tym, którzy od zaczątku stanowią właściwą dźwignię i podwalinę prowincjonalnej prasy, aby ich dla dobra ogółu i dla interesów oświaty nie zrazić, aby z tych pierwszych ochotników utworzyć pokojową armię ochoczych bojowników, walczących pod hasłem redakcji przeciw ciemnocie i tajemniczości.

X.

Co się zaś tyczy samej treści organu prowincjonalnego, to wiadomo, że szczególnie rzeczy dotyczące miejscowej okolicy w pierwszym rzędzie obchodzą ciekawą publiczność; należy więc tak pokierować maszynerją reporterską, by jak najwięcej mieć do ogłoszenia wypadków i zapisków, budzących taki partykularny interes. Wszystkie zresztą artykuły w takiem piśmie winny być krótkie i zwięzłe, rzadko tylko (n. p powieści, opowiadania historyczne i poważne sprawozdania) mogłyby się ciągnąć przez dwa lub kilka numerów, bo takie rozkawałkowanie całości, do tego częstokroć nienależyte, zamiast rozciekawić, zniechęca małomiasteczkowych i wiejskich czytelników, nie przyzwyczajonych do regularnej publicystyki i dłuższych rozpraw. Lepiej gdy tam będzie dużo wiadomości krótkich, niż mało a długich

Do koniecznych obowiązków redakcji takiego pisma należy: gorące i nieustanne popieranie słowem i czynem wszelkich stowarzyszeń i towarzystw, znamionujących na prowincji życie polskie, dążących do prawdziwej oświaty i dobrobytu krajowego lub okolicy; dalej wspieranie miłosiernych i dobroczynnych zakładów, które w szlachetny sposób zapobiegają nędzy i ubóstwu współobywateli niższych stanów; bronienie objętego programem obszaru przed napaścią przewrotnych korespondentów do innych dzienników, lub obcych nam wrogich żywiołów; wykazywanie bez namiętności i podstępów złych środków i za niemi idących nieszczęsnych skutków, z powodu przewagi ciemnych fanatyków żydowskich i przewrotnych agitacyj świętojurców, jednocześnie przeciwstawiając zacne dążności postępowych izraelitów i szczytne idee małoruskiej czyli ukraińskiej partji. Pomoc użyczona oświeconym izraelttom w kierunku narodowym, tudzież przyjaźne wspomaganie czysto ruskiej literatury, przyniesie naszym interesom rzetelną korzyść, bo na legalnej drodze oświeci nieobeznanych o szkodliwości tych walk i pokątnych wichrzeń, a krajowi przysporzy spokojnych i prawych obywateli.

Ścisła łączność między redakcją a czytelnikami wymaga od pierwszej pośrednictwa w różnych sprawach, ułatwień w prenumeracie specjalnych dzieł, perjodycznych pism i broszur, zbierania i przyjmowania składek, udzielania objaśnień, wskazówek i t. d. Otóż, jeśliby taka czynność z pewnym uszczerbkiem czasu była połączoną, praktycznem byłoby: otworzyć razem z administracją gazety „*biuro wywiadowcze,*“ o którego koncesją i rozgłos w kraju należałoby się postarać. Podobna czynność byłaby tem łatwiejszą, że administracji stałyby otworem szpalty gazety i inseraty, a płynące ztąd dochody wspomogłyby znacznie fundusze wydawnictwa. Dlatego możnaby to zarządzić zaraz z rozesłaniem odezw prenumeracyjnych, albo później za pomocą osobnych instrukcyj drukowanych pozyskać wielką ilość ogłoszeń w inseratach, co jak powszechnie wiadomo, nie mało przynosi administracji ubocznych przychodów.

Powoli wzmagałoby się takim sposobem koło stały prenumeratorów, a za poparciem dobrze myślącego ogółu możnaby nawet było uzyskać subwencję sejmu i innych instytucyj, osobliwie „*Macierzy polskiej*“, której przeważnie to na sercu leżeć powinno. Żywszem tętnem zadrgałoby uśpione dotąd życie na prowincji, jaśniejsze zaświeciło światło w tem zaciszu, okrytem mgłą tajemniczości i bezczynności, i wykształciłby się bez użytku i w ciemnocie spoczywający materjał mieszczan i włościan, których śmiały głos redakcji powołałby do działania w autonomicznych instytucjach. Śmiało więc twierdzimy, opierając się na naocznem przekonaniu i poznaniu świata prowincjonalnego, że prasa prowincjonalna według naszych uwag i skazówek sumienie prowadzona, oddałaby krajowi i ojczyźnie olbrzymie usługi. Dla tego też polecamy nasz projekt światłemu ogółowi w tem przekonaniu, iż jak jego osnowie towarzyszyła u autora miłość prawdy i szczera chęć służenia sprawie ogólnej, tak z całem spokojem gotów jest on oczekiwać bezstronnego są du od znawców traktowanego przedmiotu, oraz chętnie przyjąć każdą zmianę i każdą myśl, zmierzającą do uzupełnienia i sprostowania jego planu. Rzucamy to drobne ziarno na glebę, oby ono tylko w przyszłości się przyjęło i obfite wydało owoce!

We Lwowie dnia 5 czerwca 1880.

KONIEC.

TRZECI...

Przyjaciół moich szczupła gromadka
Gdzieś po szerokim świecie rozbita,
Bratem mi każdy był do ostatka,
Potem w dwóch słowach: «Bądź zdrów» — i kwita
Ot — zda się wszystko idzie jak z płatka,
Jednak żal dziwny za serce chwyta
I choć się w życiu niby to szczęści,
To któż wie czemu smutno najczęściej?

I wciąż tak tęskno jakoś za niemi,
Jakbym ich wczoraj żegnał dopiero,
Jakbym ja jeden był tu na ziemi,
Co w sercu miłość przechował szczerą,
Jakby to dla mnie wśród tego świata
Nigdzie już więcej nie było brata.

Gdy się bywało w smutku zagłębię,
Rozerwać myśli wychodzę czasem
W pole... Nad rzeką przy starym dębie,
Co tam samotny stoi pod lasem,
Przesiedzę nieraz długie godziny,
Słuchając gawęd szemrzących liści,
Słuchając baśni coraz to innej
Nie bez zajęcia, nie bez korzyści.

I tak ze starcem jakoś pomału
Coraz to ściślej zżyłem się potem.
W lecie on chronił mnie od upału
Bujnej zieleni gęstym namiotem
A zimą kiedym jechał tamtędy,
To zginał zawsze kark w moją stronę
I długo za mną wichrem zmącone
Biegły jak echa starca gawędy.

Och! próżno serce człowiek zamyka
Dla wszelkich uczuć, jak dla czczej mary —
Zostaje wiecznie w nim żądza dzika
Jakiejś miłości, nadziei, wiary...
Długo odludka i samotnika
Był przyjacielem ów dąb prastary.

Aż w lat — lecz mniejsza... Cóż data znaczy?
Z żalem żegnałem moje zacisze
I w świat na żywot szedłem tułaczy...
Lecz dawni młodych lat towarzysze
Poznać nie chcieli... nie mogli raczej.
A ten ostatni, co tam, daleko...
Jeszcze czas jakiś szumiał nad rzeką,
Potem go strzaskał piorun — jak słyszę.

I oto znowu po przerwie długiej
(Tak jak to zwykle bywa na świecie)
Nadarzył mi się przyjaciel drugi.
Raz wyczytałem anons w gazecie
Pod artykułem treści prawniczej,
Że sprzedać pudla ktoś sobie życzy.

Pudel był stary — lat dziesięć blisko.
W targ z właścicielem: — «cztery floreny!»
Niemcowi widać zbrzydło to psisko,
Bo zaraz spuścił z tonu i z ceny,
Lecz na trzech reńskich w końcu się zaciął.
Ha! dziś o tańszych trudno przyjaciół.
Więc od tej chwili wszędzie po świecie
Tłukło się za mną poczciwe zwierzę,
Gdy się w alpejskim znudzim szalecie
Do Włoch nad morskie jedziem wybrzeże;
Zwiedziwszy Londyn, Rzym i Wenecję,
Zaprzyjaźniliśmy się tak szczerze,
Że dziś gdy wspmnę o tej przyjaźni
Żal szczery serce boleśnie drażni.

Szczęśliwi ludzie, którzy z kolei
I raz i drugi pokochać mogą,
A nie kochając nic i nikogo
Żyją wspomnieniem w braku nadziei!
Lecz nie każdego, sami przyznacie,
Naturą taką Pan Bóg obdziela...
W Madrycie skradli mi przyjaciela.

. . . .
. . . .
. . . .

Dziś rzadko o tej wspominam stracie,
O druhów moich gromadce bratniej.
A jeśli kiedy myśl samotnika
Za niewrotnemi dniami pomyka,
Jeśli z letargu czasem się zbudzi
Serce stęsknione nagle do ludzi,
Szukając dłoni i duszy bratniej —
Wtedy gdy słońce jaśniej zaświeci
Zjawia się jeszcze przyjaciel trzeci:
Cień mój — towarzysz wierny — ostatni.

Czesław.

DZIWNE KARJERY

POWIEŚĆ

Jana Lama.

TOM II.

(Ciąg dalszy.)

Organizm ludzki ma swoje prawa: dwudniowa podróż w zimie, o bułkach i suchej kiełbasie, wpędziła dra Mitręgę w chorobę, w której narażony był na dwa niebezpieczeństwa. Pierwszem z nich była śmierć, a drugiem owa transakcja z panem Steinschleifem, która według zapatrywania niektórych prawników nie ma mieć natury cywilno - prawnej, ani handlowo - prawnej, ale zupełnie inną. Od śmierci ocalili go lekarze, od następstw negocjacji krachenburgskich wybawił go szczególny zbieg okoliczności.

Dyrekcja grecko-portugalskiego banku w Krachenburgu, po odejściu dra Mitręgi, zrobiła wprawdzie kilka poufnych a złośliwych uwag o opłakanej potrzebie pieniędzy, w jakiej znajdował się widocznie jej klient wilkowski, ale następnie poczęła żałować, iż dała mu odejść w rozdrażnieniu. Mógł on w istocie spowodować zerwanie umowy z Bankiem Filodemicznym, bardzo korzystnej dla Greko - Portugalczyków, i to w chwili, gdy spieniężyli zaledwie jednę piątą część powierzonych im obligów. Postanowili tedy drzeć łyko zawczasu, tj. sprzedać jak najwięcej obligów w jak najkrótszym czasie. Wskutek tego, nazajutrz po wyjeździe naszego bohatera, pojawił się we wszystkich sześciu dziennikach krachenburgskich artykuł tej treści:

»Bank Filodemiczny w Wilkowie jest to jajo Kolumbusa, a raczej kura niosąca złote jaja, którą udało się znaleźć kilku tamtejszym finansistom, jakkolwiek pierwszą myśl poddał im sławny nasz ekonomista Beutelschneider, dyrektor Banku grecko-portugalskiego, którego genjusz nie po raz pierwszy świat finansowy ma sposobność podziwiać. Klientela Banku Filod. rośnie jak na drożdżach, a ponieważ właściciele obligów przypuszczeni są do dywidendy na równi z akcjonarjuszami, więc popyt na te papiery jest ogromny, i jak się dowiadujemy, większą ich część zakupiły już domy bankowe w Humbugu i Frantfurdzie. Pierwszy kupon półroczny począł właśnie wypłacać na rachunek zakładu wilkowskiego tutejszy Bank grecko-portugalski, w sumie 3 od sta; z drugim półrocznym kuponem wypłaconą będzie właścicielom obligów superdywidenda, wynosząca według najskromniejszych obliczeń drugich 6 od sta. Zapomnieliśmy dodać, że w skład zarządu Banku Filodemicznego wstępują właśnie dwie największe potęgi finansowe Milicji i Landwerji, mianowicie Graf Niemanicky i baron Hołysz. Na dzisiejszej giełdzie kurs obligów podniósł się o 5 idealników, a to z powodu, iż nowe zakupna zagraniczne sprowadziły chwilowy brak efektów na placu.«

Na koszta umieszczenia tego artykułu wpisał Bank grecko-portugalski filodemicznemu 3000 id. w rubrykę »winien«.

Doniesienie o podwyżce kursu było zgodne z prawdą. Na giełdzie krachenburgskiej pojawiło się było dwóch ajentów z Frantfurdy, rozpaczliwym głosem wołających »*wer gibt?* (kto sprzedaje) Filodemen? *Ich nehme! Ich nehme!* (kupuję)« W odpowiedzi na to ajent grecko - portugalski oświadczył, iż sprzedaje, ale pokazało się, że nie posiada więcej sztuk, nad pięćdziesiąt. Znalazł się jakiś drugi giełdzista, który miał jeszcze 25 sztuk, ale ten nie spuścił ani mizeraka z 93 idealników. Więcej obligów nie było na »placu«, i ztąd poszło, że jeden z ajentów frantfurdzkich, z grzeczności, odprzedał jakiemuś amatorowi połowę swoich papierów po 95 idealników.

Dla wiadomości tych, którzy chcieliby zakładać banki filodemiczne, nadmieniam tutaj, że z wyjątkiem wymienionego na końcu amatora, wszyscy kupujący i sprzedający działali z ramienia Banku grecko-portugalskiego.

W ten sposób prowadzono interes dalej, i w końcu znaleźli się rzeczywiści nabywcy coraz większych zapasów papieru »filodemicznego«, podczas gdy kurs podnosił się stopniowo. Czytał o tem w dziennikach p. Steinschleif, i cieszył się, że ma taką pewność w zamian za swój garnitur turkusowy. Z czasem, zaczęło mu się robić żal, iż deponowany u niego kapitał rośnie wprawdzie, ale na pożytek jakiegoś milicyjskiego hrabiego. Jednocześnie dziwiło go, że hrabia nie odsyła garnituru. Poszedł do hotelu *des Millionnaires* i dowiedział się, że hrabia i hrabina wyjechali nagle przed kilku dniami. Poszedł do jakiegoś finansisty i dowiedział się, że papier filodemiczny jest w istocie bardzo dobry. Wstąpił więc na giełdę, w zamiarze sprzedania kaucji dra Mitręgi, ale widząc, jak się kapitaliści rwą do kupna, namyślił się, i zamiast sprzedać, kupił jeszcze za parę tysięcy. Wróciwszy zaś do domu, wystosował taki list do dra Mitręgi:

»JWny panie! Ponieważ JWny pan wyjechałeś, nie zwróciwszy wiadomego garnituru topazowego, więc ośmielam się przypuszczać, iż JWny pan życzysz sobie nabyć go na własność. W tej myśli spieniężyłem dane mi papiery, które po kursie 90 za sto przyniosły 4500 idealników. Garnitur, jak wiadomo JWmu panu, otaksowany jest na 2000, za pożyczenie należy mi się 200, odsyłam przeto z podziękowaniem resztę w kwocie 2300 idealników i jestem JWgo pana zawsze do wszelkich usług gotowym, pełnym wysokiego poważania naniżeńszym sługą Steinschleif i Spółka.«

Listu tego nie chciano doręczyć pani Natalji, a ponieważ dr. Mitręga był w gorączce, więc doręczono mu dopiero, gdy przyszedł do siebie.

Gdy, jak powiadam, dr. Mitręga przyszedł do siebie, miał oprócz tego w obecności żony długą i niezewszystkiem miłą rozmowę z teściem o przedmiocie, który już znamy. Pan Kluszczyński klął się na duszę i ciało, najpierw, że nigdy nie posiadał ani jednego zapisu chaocko-teremteckiej renty papierowej, jeno samą srebrną, nie mógł więc dać dr. Mitrędze innej, jak tylko srebrną.

— Zresztą, pokaż — rzekł z wyrazem człowieka, gotowego uwierzyć w jakiś cud nadprzyrodzony — pokaż, może doprawdy jakie licho w to się wplątało!

Tej żądanej »inspekcji oryginałów« przeszkodziła atoli ta okoliczność, że, jak nam wiadomo, dr. Mitręga w pół godziny po otrzymaniu zapisów renty spieniężył je był na stacji pocztowej w Wilkowie, spiesząc na karnawał do Krachenburga.

Druga kwestja tyczyła się, jak wiemy, nominalnej wartości doręczonych dr Mitrędze zapisów renty, mniejsza o to, jakiej. Kwestję tę poruszono dopiero, omówiwszy obszernie pierwszą, tj. gdy już pan Kluszczyński przekonał się, że jego zięć sprzedał wszystkie papiery, i że jakoś nie bardzo jest pewnym, czy były papierowe, czy srebrne. Teraz utrzymywał, że nominalna suma wynosiła nie 62,550, ale 75,250 idealników, co według kursu renty srebrnej przeszło 66 za sto wynoszącego, odpowiada okrągłej kwocie 50 tysięcy w gotówce. Dr. Mitręga protestował, powoływał się na swoje notatki, które miał w pugilaresie, a których teraz znaleść nie mógł — p. Kluszczyński był bardzo oburzonym, aż w końcu zawołał:

— Aaa! A może ty nie uważałeś! Tam było rzeczywiście 60.000 sztukami po 1000 idealników, ale były także trzy sztuki po 5000, a reszta drobnemi. Może ty przeoczyłeś i dałeś się komu oszukać! A to by była ładna historja!

Dr. Mitręga zapewniał stanowczo, że nic nie przeoczył; p. Kluszczyński obstawał przy swojem, i w końcu tak się rozsierdził, że posłał natychmiast po panów Abla i Bandurę, jako świadków wypłaty. Przybyli pp. Abel i Bandura, i zastali panią Natalję zapłakaną, p. Kluszczyńskiego mocno zirytowanego, a dra Mitręgę w łóżku. Gdy im powiedziano, o co chodzi, poczęli niezmiernie potężnie myśleć i przypominać sobie, ale przypomnieć sobie nic nie mogli. Dopiero gdy im powiedział p. Kluszczyński:

— Ależ pamiętacie przecież, że wypłaciłem 50,000 w zapisach renty srebrnej, po kursie 66 i ćwierć za sto, że dałem 60 sztuk po 1000 idealników, 3 po 5000, dwie po sto, a jednę na pięćdziesiąt, i że przy was liczyłem sztuki i obliczyłem, ile są warte w gotówce.

— A to, to pamiętam doskonale!— zawołał p. Abel—nawet przypominam sobie, że jedna sztuka na 5000 była zupełnie żółta!

— A druga splamiona była atramentem, tak oto, na rogu; pamiętam doskonale! — zawołał pan Bandura.

Im dłużej w ten sposób pp. Abel i Bandura przypominali sobie szczegóły, których byli świadkami, tem bardziej wspomnienia ich zgadzały się z twierdzeniami p. Kluszczyńskiego. Pan Bandura przypomniał sobie nawet najwyraźniej brzmienie napisu: »*Confusions-Münze in Silber*« (monetą konfuzyjną w srebrze), co najoczywiściej dowodziło, iż renta była srebrną, i co natychmiast p. Abel potwierdził. Obydwaj ci szanowni mężowie przekonani są

dotychczas, że przypominają sobie to wszystko, jakby się dzisiaj działo — a złudzenie to psychologicznie tłumaczy się w ten sposób, iż będąc powołanymi na świadków, ze względu na to, iż właśnie wstali od śniadania, nie wiedzieli dokładnie, o co chodzi, i że dowiedzieli się o wszystkiem szczegółowo dopiero teraz od pana Kluszczyńskiego, w którym pokładali ufność najzupełniejszą, będąc z nim od dłuższego czasu w spółce co do różnych interesów pieniężnych.

Wobec dokumentu, który sam podpisał, i wobec kategorycznych zeznań takich dwóch świadków, którym nic zarzucić nie było można, jak tylko to, że będąc świadkami, wypili byli dużo wina, dr. Mitręga musiał skapitulować i nawet już nie wspominał o tem, że wówczas była mowa o kursie 65 i pół, a teraz ni ztąd ni zowąd zrobiło się 66 i ćwierć. Wiadomo zresztą, że kursa podwójnie bywają notowane, jest rubryka: »żądają», i rubryka »płacą». Nastąpiło więc tylko wielkie oziębienie stosunków między teściem a zięciem, które atoli jednemu i drugiemu nie przeszkodziło zajmować się wspólnie interesami Banku Filodemicznego, wymagającemi teraz właśnie całej ich baczności.

Jak to wpłynęło na stosunek między »Maniem» a Natalją, nie wiem. Wiem tylko, że jeździła w zimie saniami albo karetą, a w lecie dorożką i półkoszykiem otwartym. Wiem także, że bywały bardzo świetne przyjęcia w domu państwa Mitręgów, i że państwo Mitręgowie bywali na świetnych bardzo przyjęciach w innych domach. Raz byli nawet u oberkomisarza, który dawał bal na tę intencję, ażeby Milicjanie posłali rządowi chaockiemu trochę więcej rekruta i o wiele więcej pieniędzy, niż zwykle. Raz znowu byli u oberszpitalnika, który dawał bal na tę intencję, ażeby przejeżdżający przez Wilków książę Etelred - Chilperyk pomógł mu otrzymać wielką wstęgę orderu świętej Porcjunkuli i Akkomodaty, z którą (tj. ze wstęgą, nie z świętą) połączone jest prawo przejeżdżania czwórką przez dziedziniec panującego dworu i obowiązek skrapiania się wodą święconą cztery razy do roku, jako też tytuł *»mon cousin»*, dawany kawalerom w listach monarszych, niemających charakteru urzędowego i nigdy przeto nie pisywanych. W lecie pani Natalja bawiła u wód, dokąd odwoził, gdzie odwidzał i zkąd przywoził ją Manio, ciągle mocno zajęty interesami filodemicznemi. W następnej zimie urodził się dziedzic rodu Mitręgów, którego chrzciny niezmiernie były sute, jakoteż w ogóle wszystko działo się niezmiernie suto w tej sferze mojej powieści, póki nie nastąpiły wypadki, o których będzie poniżej. Działo się, powiadam, suto, a nie tak, jak wówczas, gdy z pierwszej połowy posagu panny Natalji zostały były tylko cztery idealniki i dr. Mitręga omal nie umarł z głodu. Ale o tem wszystkiem pomówimy jeszcze obszernie.

W tytule niniejszego rozdziału powiedziano, że ludzie łatwiej umierają z głodu niż z miłości. Zabijają się czasem — z miłości, jak twierdzą dzienniki, ze złości, jak ja twierdzę. Wszystkie miłosne samobójstwa, pojedyńcze lub dubeltowe, mają swoje źródło w chęci dokuczenia tym, którzy zakochanym stawiali przeszkody. I byłoby tych samobójstw nierównie więcej, gdyby przeważna większość zakochanych nie miała tyle przynajmniej rozsądku, by zważyć, iż zemsta słodką jest jedynie, jeżeli się patrzy na jej skutki, a tragiczne położenie, w którem się znajdujemy, pochlebia miłości naszej własnej także tylko o tyle, o ile widzimy, jak nas żałują, podziwiają i opłakują. Ponieważ zaś nie jest rzeczą udowodnioną, by najnieśmiertelniejszej duszy ludzkiej danem było patrzeć po śmierci na rozpacz i żal jednych, na współczucie i podziwienie drugich, ponieważ przeciwnie istnieją uzasadnione teorje, według których dusza samowolnie odłączająca się od ciała dostaje się w miejsce niezmiernie gorące i ciemne, gdzie nic a nic nie widać, więc, jak powiadam, przeważna część nieszczęśliwie zakochanych wstrzymuje się w stanowczej chwili od wykonania samobójczego zamiaru, chociażby im przyszedł do głowy. Nie przeczę zresztą, że ludzie zabijają się czasem także li tylko z wielkiej moralnej boleści, ale mam przekonanie, że w takich razach boleści tej towarzyszy jakaś ukryta wada ustroju fizycznego.

Wszystko to mówię, ażeby wskazać, dlaczego zapomniany już niemal przezemnie i przez czytelnika drugi, i główny mój bohater, Stanisław Wołodecki, pozostał przy życiu. Muszę nawet powiedzieć, że myśl samobójcza ani na chwilę do głowy mu nie przyszła, pomimo iż cierpiał tyle, ile tylko człowiek cierpieć może, doznawszy zawodu w tem, co najbardziej umiłował. Zdawało mu się tylko chwilami, iż musi umrzeć, albo przynajmniej rozchorować się ciężko, ale nie chciał umierać, ani chorować, bo nigdy na chwilę nie zapominał o matce, której był jedynakiem, życiem całem i podporą. Zamknął się tedy sam w sobie, nie bywał nigdzie, jak tylko w domu i w biurze redakcyjnem, gdzie, jak to podpatrzyli koledzy, siedząc nieraz zadumany nad jakimś telegramem, artykułem, albo korektą, ni ztąd, ni zowąd, zalewał się łzami. Koledzy byli dobrymi ludźmi — można bowiem bardzo niedorzecznie tłumaczyć telegramy, a mieć wiele serca i tej delikatności wrodzonej, której nie zastąpi żadne wykształcenie ani wychowanie. Pojęli, że Stanisław ma jakieś głębokie zmartwienie, i uszanowali je, nie trapili go pytaniami, nie dręczyli żartami, nie smucili bardziej własną wesołością, ani też nie dolewali oliwy do ognia zbyt ponuremi minami. Tak samo postępował Śmiechowski, który wiedział, co się stało.

Wołodecki tedy, powtarzam, nie umarł ze smutku, ale żył dalej jeszcze cały rok, o którym tu była mowa, i to żył w sposób, o którym równie jak o wielu innych rzeczach, pomówimy w następnym rozdziale. (C. d. n.)

Z WYSTAWY SZTUK PIĘKNYCH

W KRAKOWIE.

Lipiec 1880.

Jeżeli pisma lwowskie skarżyły się niejedno krotnie na małą ilość obrazów, nadesłanych do nadpełtwiańskiego salonu, to Kraków pod tym względem, dumnie na rywala swego spoglądać może. Od czasu kiedy imię Matejki i szkoła sztuk pięknych ściągać zaczęły do murów Krakowa, prawie wszystko co talentem i dobremi chęciami na polu sztuki się odznacza, odkąd Kraków stał się małem Monachium polskiem, odtąd i wystawa Towarzystwa sztuk pięknych zawsze jest pełną obrazów i obrazków najrozmaitszej treści. Szkoda tylko, że ilość ich wzmaga się z uszczerbkiem jakości, że mamy dużo malowideł mniej lub więcej przyjemne robiących wrażenie, ale mało dzieł prawdziwej wartości, na którychby oko znawcy spoczęło z zadowoleniem. Cała wielka sala Sukiennic pokrytą jest podobnemi bezbarwnemi robotami, pozbawionemi wszelkiej wybitnej cechy, a tworzonemi na prędce podług danej formułki. Są tam niezliczone trójki i czwórki, jarmarki, targi, chłopcy krakowiacy według fotografij Kriegera, są widoki w rozmaitych tonach z księżycami i bez księżyców, ze śniegiem na prawo, a błotem na lewo — lub przeciwnie. Już to błota najwięcej...

Szczególniej w obecnej porze, bardzo smutno przedstawia się wystawa, choć to czas zakupu przez towarzystwo, będący silnym bodźcem dla artystów.

Jest wprawdzie jedno dzieło sztuki, ale stojące na uboczu, nie zwracające na siebie uwagi tłumów zwiedzających wystawę. Dzieło to rzeźby nie malarstwa. Skromne gipsowe popiersie *Matki Boskiej*, dłuta p. Stanisława Lipińskiego, wynagradza rozczarowanie znawcy, jakiemu uledz musi każdy umysł poważnie zapatrujący się na sztukę, a nadarmo szukający po ścianach wystawy czegoś, coby zachwycić lub zastanowić mogło. Nie mówimy tu naturalnie o kilku dawniejszych dziełach sztuki, zdobiących od lat wielu wystawę.

P. St. Lipiński podjął się niełatwej rzeczy i wywiązał się z niej tak, jak tylko wywiązać się potrafi ten co sztukę pojmuje na serjo i z prawdziwym talentem do niej przystępuje.

Sztuka nie mało dziś postąpiła w kierunku realnym. Minęły bezpowrotnie te czasy, gdzie dość było artyście oblec pomysły swoje w szablonowe kształty, zdjęte żywcem z posągów greckich. Rzeźbiarz lub malarz dawnej szkoły nie troszczył się o to, czy linje kaligraficzne, że się tak wyrażam, jakie ciału nadawał, podobne są do rzeczywistych. Niemożliwe fałdy, w jakie przyodziewał ciało, układał podług danych formułek, niemających podobnie jak kształty i ruchy, nic wspólnego z prawdą. Dziś i poeta, chcący zadość uczynić wymaganiom czasu i jego pojęć, czerpać musi natchnienie z życia, czując, że co ma być pięknem, winno być prawdopodobnem. Dla rzeźbiarza nie wystarcza już skopjować Wenerę grecką — skrzyżować jej ręce na piersi, a podłożywszy węża pod nogi podpisać: „Matka Boża".

Zrozumiał to dobrze p. St. Lipiński. Natchniona główka jaką przedstawił, ma przedewszystkiem wybitny typ wschodni. Oczy spuszczone bez przesady i brew nad prawem okiem

*

nieco podniesiona, nadają tej główce tyle wdzięku, tyle zadumy jakiejś i dziewiczej niewinności że odrazu przedmiot się tłumaczy. Nozdrza lekko rozwarte i usta nieznacznie skrzywione, jakby cień rodzącego się na nich uśmiechu dopełniają prawdziwie idealnego choć zgodnego z prawdą wyrazu twarzy. Wszystko to zda się drgać wewnętrznem szczęściem i nadziemskim jakimś spokojem, który cały ten natchniony utwór opromienia.

Ręce kształtne, skrzyżowane na piersiach, nie podlegają zarzutowi. Jeżeli się godzi przy tylu zaletach wspomnieć o drobnych usterkach, które nawet w każdem rąk ludzkich arcydziele wynaleźć się dadzą, to zwrócilibyśmy jedynie uwagę artysty, na lewe ramię nieco za drobne i chude, oraz na lilję trzymaną w ręku za małą i nienaturalną.

Stojąc przed „Matką Boską“ Lipińskiego tyle się widzi w niej życia i prawdy, że przychodzi zapomnieć, że się tylko gips zimny i biały ma przed sobą. Ale czego zapomnieć nie można, to smutnego przekonania, że przy dzisiejszych warunkach w jakich się wszyscy artyści, a w szczególności, rzeźbiarze znajdują, gips się zapewne nigdy w marmur nie obróci. Amatorów wydających na psy i konie, nigdy u nas nie brakowało, bo do tego nie potrzeba wykształcenia ani wyższego smaku, ale mecenasów sztuki pomiędzy panami naszymi nawet z latarką Djogenesa by nie znalazł. Potrzeba do tego ofiarności, dobrze zrozumianego patrjotyzmu i nieco więcej wykształcenia. Towarzystwo sztuk pięknych, mające do rozporządzenia dość znaczne fundusze, mogłoby choć w części zastąpić brak mecenasów. Ale Towarzystwo, jak słyszeliśmy, ma pewną normę w ocenie dzieł sztuki i normy tej nie ma odwagi przekroczyć. Szanowna Komisja oceniająca sądzi dzieła podług miary i za nicby w świecie nie dała tyle za popiersie, co za całą figurę, choćby to popiersie było arcydziełem. Niezawodnie więc z łokciem w ręku zakupi „Matkę Boską“ Lipińskiego za jakie parę set reńskich, a ten co ją wygra przy losowaniu, zapewne nawet wiedzieć nie będzie, że prawdziwe dzieło sztuki posiada.

Ponieważ z działu rzeźby wystawa nic więcej godnego uwagi nie przedstawia, przejdźmy przeto do obrazów, zatrzymując się najpierw przed najlepszym niezawodnie z całej wystawy „Benedyktynem“ Fałata. Nad wielką księgą siedzi mnich uczonego zakonu, a przewracając jedną ręką karty księgi, drugą podpiera wyrazistą głowę. Na twarzy maluje się zadumanie i spokój. Szeroka, oryginalna i śmiała technika zwraca przedewszystkiem uwagę.

Siły, z jaką zdołał oddać głowę naturalnej wielkości p. Fałat wodnemi farbami, niejeden artysta nie potrafiłby wydobyć, malując olejno. Obraz ten jednak pomija się bez wrażenia, a przyczyną tego jest brak wyższej myśli. Jest to prawda, zręcznie schwytana ale nic więcej. Wada to wielu uzdolnionych artystów, którzy pokonawszy trudności techniczne, poprzestają na wiernem oddaniu natury. Ta wada u pana Fałata tembardziej nas dziwi, że w nadsyłanych poprzednio przez niego krajobrazach, widzieliśmy nietylko technikę, ale i myśl i pewien zasób poezji. Jeżeli przedmiot jest suchy, artysta powinien przyciągnąć widza choćby jakim ponętnym szczegółem, jaką wydatną drobnostką. dla czego np. p. Fałat nie umieścił zamiast zielonej kotary, choćby kawałka okna z błękitem nieba, promyka słonecznego, lub jakiego architektonicznego ułamku. Nie zmieniłoby to całości, a obraz stałby się więcej zajmującym dla ogółu, a więc niechybionym. Za taki bowiem bezwarunkowo uznajemy krajobraz, który jedynie znawców zdoła zwrócić uwagę.

P. Ryszkowskiemu za obraz „Marudery“ taki sam zarzut uczynić można, większy nawet, bo przedmiot, który obrał nie suchy jest a wstrętny. Nic nie zdoła zniszczyć tego przykrego wrażenia, jakie wywołuje rabuś z bydlęcym wyrazem twarzy, wlokący zdarte z trupów mundury, albo wychudła i pokaleczona szkapa, popędzana batem przez żyda. Wszystko to wprawdzie oddane z wielką naturą: i chłopak w głębi, ciągnący upadłego na ślizgawicy konia, i śnieg na wpół stopniały i mgła w oddali. Pan Ryszkowski może mieć bezwątpienia przyszłość przed sobą, ale aby na podobny temat wykonać rzecz niewstrętną i zajmującą, niedość jest użyć sztucznych wabików w układzie Takiemu zadaniu zaledwie pierwszorzędny talent by podołał.

P. Bierkowskiej chłopak z rozbitym dzbankiem byłby dobry, gdyby artystka w miejsce bezbarwnego parkanu i brzydkich łachmanów, umieściła coś więcej malowniczego i nęcącego ku sobie Wprawdzie i łachman może być malowniczym, ale aby go takim oddać, trzeba całej niemal wykwintności techniki i kolorytu, do czego p. B. jeszcze nie doszła. Główka jakkolwiek nieco płaska, najwięcej znamionuje niezaprzeczony talent młodej artystki. Za to technika niepewna, jest jedynie winą szkoły. Zaręczyć prawie można, że p. B. nie miała dobrego nauczyciela.

Jeżeli zajmującemi szczegółami podnosi się wartość obrazu, to na odwrót, szczegóły choćby najdoskonalej wykonane, obrazu nie stanowią. Dowodem tego choćby Arab p. Pileckiego. Jest tam i płaszcz i pas i pistolety i kindżały i jatagany, słowem cały arsenał wschodni. Wszystko to wybornie malowane, ale nie można się dopatrzeć najważniejszej rzeczy—Araba. Niezdarny Niemiec, oparty o strzaskaną kolumnę grecką, przybrany pretensjonalnie we wszystkie wymienione szczegóły, wygląda na statystę teatralnego, usiłującego odegrać Hamleta.

P. Malewski przedstawił nam bociany. Te poznać się dadzą, choćby po czerwonych dziobach. Drzewa podejrzywać można, że są wierzbami. Krzaki niewiadomo jakie, ale zawsze podobne do krzaków. Co to jednak wschodzi czy zachodzi na widnokręgu, czy słońce czy księżyc, pozostaje dla widza zagadką nie do rowiązania.

P. Wojciech Kossak, który nam przed paru laty pokazał portret własny w stroju kaprala austrjackiego, dalej czerpie natchnienie w tym samym kierunku. Nadesłał obecnie nadzwyczaj malowniczy i nader zajmujący widok ćwiczeń wojska austrjackiego, jak również paru ułanów na rekonesansie. Szkoda że p. K. marnuje swój talent w Krakowie, a nie przeniesie natchnień i pomysłów swoich do Wiednia. Byłby na właściwym gruncie. Pod względem techniki, przypominający trochę szkołę francuską, p. K. nie awansował jeszcze na kaprala.

„Żebracy“ p. Koniuszki, mają swoje dobre strony. Głowa ślepego starca dobra, tak w wyrazie jak i wykonaniu. Ale chłopak czy dziewczyna, bo rozpoznać dalibóg trudno, na której czy na którym starzec się opiera, nieszczególnym odznacza się rysunkiem, zwłaszcza ręce niedbale traktowane. W obrazie tym uderza pewna ilość czarnej farby...

P. Papieski dał parę wcale dobrych portretów. Szkoda tylko, że mniej w nich prawdy, niż techniki, dla której artysta o pierwszej zapomina.

Drobnych i większych widoczków malowanych na jedno kopyto, jest moc wielka. Jest nawet widoczek pana de Brochocki.

Nie należy jednak krzywdzić p. Konopackiego. Przysłał on z Paryża na wystawę „Powrót wieśniaków z pola“. Rysunek wprawdzie nietęgi i technika za ciężka, ale czerwony promień zachodzącego słońca śmiało rzucony na figury, uderza prawdą i cechuje niezaprzeczony talent.

Oto i wszystko o czem wspomnieć należało.

Miernotę obecnej wystawy należy przypisać zarządowi towarzystwa sztuk pięknych który zakupując corocznie mniejsze, często bezwartościowe obrazy, nie odłoży większej sumy na dzieło rzeczywistej artystycznej wartości. Towarzystwo nabywa drobiazgi, przed większym utworem żegna się ze strachem.

Fundusze towarzystwa są dość znaczne, a summę przeznaczoną na zakupno, przy dobrych chęciach powiększyć by można. Kosztowne i zazwyczaj liche chromolitografje, rozdawane na premja, zastąpićby się dały dobrym drzeworytem. Kosztowałoby to połowę taniej, a za pozostałe dwa lub trzy tysiące, możnaby nabyć większe i znakomitsze dzieło polskiego pędzla lub dłuta. Byłaby w tem i ta korzyść, że pieniądze wywożone do Berlina lub Paryża, pozostałyby w kraju, drzeworytów bowiem nie potrzebujemy zamawiać na obczyźnie. Ale u nas w Krakowie wszystko musi iść dawnym odwiecznym trybem; wszelka reforma, choćby powszechnie za dobrą uznana, natrafia zawsze na nieprzezwyciężone trudności.

Reformy takiej potrzebuje i skład komisji rozpoznawczej. Możnaby nawet podejrzywać, że takowa wcale nie istnieje, jeżeli co krok napotykamy na wystawie takie Jadwigi, Dęborogi, Szmigusty itp. babraniny. Tożby dziecko poznało się na wartości tych utworów, a sławetna kommisja rozpoznawcza poznać się nie chce, lub nie umie. Takiem niedbalstwem Towarzystwo wielką krzywdę wyrządza i samym artystom. Podobne pobłażanie niejeden młody talent zmarnować może, a wystawa rozmija się ze swojem zadaniem, bo zamiast kształcić, kazi tylko smak publiczności.

Samobójstwo.

(Dokończenie.)

Po porównaniu wypadków samobójczych z ludnością krajów, i po wykazaniu, że oprócz jednej właściwej Anglji, liczba samobójstw wzrasta daleko szybciej od liczby ludności, uczony profesor bada różnorodne wpływy, mogące tu mieć znaczenie.

Dzieli on te wpływy jak następuje:

1. *Kosmiczne* albo *naturalne* (klimat, warunki geograficzne, pory roku, miesiące, zmiany księżycowe, dnie i godziny); 2. *etniczne* albo *demograficzne* (rasa, pochodzenie, narodowość, charakter antropologiczny, zwyczaje i obyczaje, stosunek roczny narodzin, ślubów i zejść); 3. *społeczne* (stopień cywilizacji, stopień wykształcenia, religje, wyznania, moralność publiczna, handel, przemysł, ekonomja publiczna, warunki polity-

czne, skupienie ludności, życie wiejskie i miejskie); 4. *indywidualne, biopsychologiczne* (płeć, stan, zawód, położenie towarzyskie, *temperament umysłowy* i charakter psychologiczny, przyczyny stanowcze).

Podział ten, cokolwiek może za skomplikowany, wskazuje, że autor nie zaniedbał żadnego z licznych stron przedmiotu, żadnej kwestji, jaką tenże wyradza. Idzie o to, w jakiej mierze dane, któremi rozporządzał, pozwoliły mu rozwiązać wszystkie pytania, jakie sobie postawił. Pokrótce zastanowimy się nad każdem z nich.

Wpływy kosmiczne i naturalne.

Autor doszedł do rezultatów czysto negatywnych pod względem oddziaływania klimatu, warunków technicznych, zmian księżycowych, dni i godzin. Potwierdził za to obserwacje poprzedników, co do jednoczesności wzrostu samobójstw z miesięcznem podnoszeniem się temperatury. Współczesność ta zauważaną już została w wypadkach obłąkania i gwałtowności napadów u chorych.

Wpływy etniczne i demograficzne.

Wpływ rasy i narodowości nie występuje dość jasno, z wyjątkiem może, w bardzo słabej mierze, co do rasy germańskiej. Wpływ charakteru antropologicznego jest żaden. Autor nie mógł oznaczyć ściśle, wśród tylu różnych czynników, stosunku, jaki może istnieć między samobójstwem a zwyczajami i obyczajami mieszkańców. Również nie był szczęśliwszym co do przyczyny i skutku, których stosunek chciał skonstatować porównawczo przy śmierci dobrowolnej i naturalnej.

Wpływy społeczne.

Skłonność do samobójstwa nie zdaje się być zależną od stopnia cywilizacji (rzecz zresztą trudna do skonstatowania), ani od stopnia ogólnego wykształcenia, ani od moralności, ani od warunków politycznych i ekonomicznych; jedynie może od wyznania (pod zastrzeżeniem dalszych dowodów potwierdzających), gdyż protestanci zdają się częściej zabijać się, niż katolicy, a zwłaszcza żydzi, ma się rozumieć w krajach, gdzie te trzy wyznania znajdują się w znaczniejszym stosunku. Skupienie ludności jest bez wyraźnego wpływu; lecz stanowczo dowiedzionem jest, że samobójstwo trafia się częściej w miastach niż na wsiach, biorąc zawsze na uwagę, że w miastach może ono być łatwiej i dokładniej skonstatowane.

Wpływy indywidualne, biopsychologiczne.

Zarówno jak pisarze, którzy go poprzedzili, tylko na zasadzie większej liczby dowodów, p. Morselli stawia następujące pewniki: 1. kobiety odbierają sobie życie trzy do czterech razy rzadziej od mężczyzn. 2. Samobójstwo wzrasta wraz z wiekiem, aż do ostatecznych granic życia. 3. Małżeństwo wywiera wpływ zapobiegający, bardzo wybitny (przynajmniej co do mężczyzn) na samobójstwo, gdy przeciwnie sprzyja mu kawalerstwo, a szczególniej wdowieństwo. Autor nie może, dla braku dostatecznych danych, być tak stanowczym w wykazaniu wpływu, jakie wywierają na samobójstwo jeżeli nie zawód, to przynajmniej pozycja społeczna.

Przyczyny samobójstwa zajmują długo autora i słusznie, albowiem gdyby przyczyny te były stanowczo orzeczone, możnaby było skutecznie szukać środków zaradczych. Lecz w tym punkcie p. Morselli opiera się na statystyce urzędowej z nadzwyczajną ostrożnością. Pewnem jest, iż z powodów różnych krewni samobójcy nie zawsze wskazują, przypuszczając że wiedzą, istotne powody, jakie go skłoniły do tego strasznego postanowienia. Wartość naukową przyczyn samobójstwa urzędownie podanych, osłabia jeszcze fakt, że część ich pozostaje nieznaną.

Jednakże nie chcąc pominąć milczeniem danych, mających pewne prawdopodobieństwo, zwłaszcza gdy te we Francji obejmują długi lat szereg, p. Morselli podaje wiele ciekawych wskazówek, chociażby takich jak ta: że kobietą przy samobójstwie powodują przyczyny bardziej szlachetne, napiętnowane pewną wielkością moralną, bardziej wzniośle od tych, jakie uzbrajają rękę mężczyzny. Monografja różnych rodzajów samobójstw, stosownie do krajów, pór roku, płci, wieku, jest jedną z najlepszych części dzieła. Uderzającem jest, że kobieta tylko nadzwyczaj wyjątkowo używa białej lub ognistej broni, a najczęściej się topi lub dusi czadem.

Pan Morselli nie wierzy w uleczalność samobójstwa, i żałujemy, że nie możemy być jego zdania, uważając, że skłonność do dobrowolnej śmierci może być równie skutecznie zwalczana, jak skłonność do obłąkania, która w wielkiej liczbie wypadków, powstaje z jednych i tych samych przyczyn. Nie uznajemy również, ażeby samobójstwo ulegało prawom naturalnym, które rządzą ruchem ludności, albowiem ruch ten, z małemi zboczeniami, jest zawsze proporcjonalny do liczby mieszkańców, wówczas gdy prawie wszędzie samobójstwo wzrasta olbrzymio i charakterystycznie.

Jeżeli p. Morselli nie wierzy w *terapię* samobójstwa, to przypuszcza *prophylaxję* (zapobieganie); tylko że ogranicza środki zapobiegawcze do jednego: *zahartowanie charakterów*, przez wychowanie męzkie, wolne od wszelkich żywiołów religijnych. *Legoyt.*

PISMIENNICTWO POLSKIE.

«Starżowie.» Obraz dramatyczny z pierwszej połowy XI wieku przez Agnieszkę Baranowską, Poznań 1880. Nakładem J. K. Żupańskiego, str. 141.

Utwór, który mamy przed sobą, wydany okazale jak wszystkie nakłady Żupańskiego, jest, jak z dedykacji widać, dziełem starszej osoby, która trudni się poezją a raczej wierszowaniem. Że zaś zwrot ku formie dramatycznej, stał się w naszych czasach powszechnym, przeto i szanowna autorka, spłacając daninę modzie czy popędowi naturalnemu, ubrała swoje dzieło w dramatyczną sukienkę i trzynasto zgłoskowym wierszem, z prologiem i epilogiem, według klasycznej modły, napisała rzecz w 5 aktach, która mimo kilkuset wierszy gładkich, uszeregowanych jak żołnierze na defiladzie, nie ma w sobie ani poezji, ani zapału, ani siły i której przeczytanie stanowić może poniekąd karę dla człowieka, szukającego w obrazie dramatycznym charakterów, akcji, wzruszeń.

Aby odmalować czasy, w których się rozgrywa dramat p. Baranowskiej, czasy burzliwe i wysoce dramatyczne, bo przedstawiające ostatnie ruchy pogańszczyzny i konserwatyzmu szczepowego u ludów słowiańskich, przeciw panowaniu chrześciaństwa i cywilizacji Piastów, potrzeba ogromnej intuicji, szerokiej fantazji i poetycznej siły, by te wydołały zadaniu: scharakteryzowania olbrzymów. Z pod pióra autorki ci olbrzymi wyszli karłami; nawet ich szorstkość średniowieczna stała się ckliwością, a swoją siłę okazują: gadaniem!... Vox! vox! preterea nihil... Szkoda czasu i atłasu na czytanie takich pseudopoetycznych i pseudodramatycznych obrazów. Po odczytaniu „Starżów“ przyszedł mi na myśl Dr. K... który odsełając śp. Rautenstrauchowej jeden z jej utworów, dany mu do oceny, napisał dwuwiersz:

Przejrzałem, pani, utwór literacki.
Wierz mi: piec lepiej, jak pisać pod placki!..

«Dowcipny pomysł.» Zdarzenie prawdziwe, przez Arję. Lwów 1880. Nakładem autora. str. 89.

Pod pseudonimem Arji, zdaje się ukrywać kobieta, która świeżo rzuciła się na pole powieściowe. Obok zalet stylu czuć u niej brak umiejętnego rozporządzania swoim talentem i tej delikatnej artystycznej miary, która z drobnostek umie stwarzać nowelistyczne cacka. Treść nadawała się do udatnej nowelli, ale młoda autorka nie zdała sobie sprawy z zamiaru i początkowe rozdziały swego szkicu tak ułożyła, że zdają się one być wstępem do obszerniejszej powieści, skutkiem czego między expozycją a dokonaniem faktu, przedstawionego w nowelli tej jako dowcipny pomysł, nie ma proporcji i po odczytaniu czje się zawód, pozostaje, zamiast zadowolenia, niesmak, który tem jest sprawiedliwszy, że mimo chęci, dopatrzeć się nie można dowcipnego pomysłu. Znajdujemy nadto w nowelli tej ustępy nacechowane takim szowinizmem narodowym, że rażą swoją namiętnością, nie mając za sobą ani cienia słuszności. Może być że niekiedy popłaca ryczałtowe potępianie wszystkiego, co wrogo przeciw nam występuje, ale aby ono było rozsądnem, stanowczo zaprzeczamy. Pojmujemy nienawiść do wrogiego nam systemu rządowego, do polityki wrogiego nam państwa, ale zrozumieć nie możemy nienawiści narodu do narodu i pojąć nam trudno dla czego Moskal — według autorki — musi być zawsze podłym, nikczemnym i okrutnym. Reasumując nasze zdanie o utworze Arji, powiedzieć musimy, że „Dowcipnemu pomysłowi“ brakuje oryginalności pomysłu; jako noweli, artystycznego zaokrąglenia; jako studjum psychologicznemu prawdy i prócz gładkiego pióra nie znaleźliśmy w noweli tej przymiotów, któreby ją po nad poziom jednodniówek powieściowych wynieść mogły.

«O legitymizmie praw narodowych» napisał ks. Antoni Krechowiecki Dr. św. teologji. Poznań 1880. Nakład Stanisława Wegnera. str. 37.

Broszura ta stanowi 3ci zeszyt wydawnictwa pod ogólnym tytułem: „Wykłady popularno-naukowe“, które powinnoby znaleść powodzenie. Pracę ks. Krechowieckiego odczytaliśmy z prawdziwą przyjemnością. Dawno nam się nie zdarzyło czytać mowy wypowiedzianej tak świetną, na wzorach Zygmuntowskich pisarzy, zaprawioną polszczyzną. Czuć że ks. Krechowiecki jest panem słowa i panem przedmiotu o którym mówi, bo tłumaczy się zwięźle a jasno, obrazowo a dobitnie, tak, że żadne z jego zdań nie daje się dwustronnie tłumaczyć. Oparty na Ojcach kościoła i na najcelniejszych pisarzach religijnych, zwalcza zdanie ultramontańskiego obozu i partji krakowskiej, jakoby walka z uzurpatorami o niepodległość narodową i byt państwowy, była potępioną przez kościół, a zwalcza zwycięzko, krusząc kopiję za

nieprzedawnione prawa narodu w imię chrystjanizmu i kościoła, jakby na dowód, że światłe duchowieństwo nasze, mimo nawoływania przeciwnego obozu stoi i stać chce na gruncie narodowym. Głos ten kapłana polskiego i znakomitego kaznodziei, tem więcej jest na czasie, że stronnictwo wsteczne nadużywa powagi kościoła starając się wmówić w nasz ogół, że wszelkie usiłowania nasze, celem odzyskania tego, co nam wzięto, są szalone, bezowocne i zdrożne i że je kościół a religja potępia.. Radzimy każdemu zwątpiałemu wziąć tę maleńką książeczkę do ręki, a powieje na niego z jej kart duch prawdziwej nauki i słowo iście religijnej pociechy, która umacnia i podnosi,.. a której nam teraz, więcej niż kiedykolwiek, potrzeba...

W. J. Wdowiszewski.

Kronika Tygodniowa.

Odezwa weteranów z r. 1831. Pustki we Lwowie i psy. Wojna Rady miejskiej z dziennikarstwem. Bankiet dla prasy w Brukselli. Z wystawy sztuki. Adam Asnyk.

Otrzymaliśmy następującą odezwę:

Do Towarzyszów broni!

Za kilka miesięcy upływa lat 50 od chwili, kiedyśmy pod hasłem: „Za waszą i naszą wolność“ stanęli w szeregach obrońców Ojczyzny.

Pod sztandarami stała wówczas stutysięczna armia — dziś z rozbitków jej została zaledwie garstka.

Jak niegdyś pod bronią, tak dziś przy wspólnym stole zgromadźmy się raz jeszcze Przypomnijmy sobie czasy chwały i klęsk jakie kraj dotknęły. Niech te wspomnienia ozłocą nam zachód życia, nam starcom stojącym już u kresu, — a obchód tej uroczystej chwili niech mówi przyszłym pokoleniom, że wszelkie klęski nie zgniotły ducha, że choć rozbiły stutysięczną armię, to wśród zgliszcz i spustoszenia przechowała się niezgaszona iskra miłości Ojczyzny i poświęcenia dla Niej —

Bo nikt nie zagrzebie
Ducha swobody — chyba on sam siebie!

Koledzy! do tej ostatniej może wieczerzy naszej, zgromadźmy się ile możności wszyscy, wybierając na teraz *Lwów* na miejsce naszego zebrania, jako jedno z głównych ognisk życia narodowego, a to tem więcej, ile że zawiązany tu komitet jubileuszowy zaprasza nas do współudziału w obchodzie.

Przy takim stole znajdzie się miejsce dla synów naszych i wnuków, i dla każdego prawego syna Ojczyzny.

Przełammy się wspólnie chlebem, przekazując młodszym utrzymywanie *Zniczu narodowego* z tem dla nich błogosławieństwem: *aby im lepiej się działo!*

Kto będzie mógł przybyć, zechce o tem donieść pod adresem Walerjana Podlewskiego, posła na Sejm i członka wydziału krajowego we Lwowie.

Lwów dnia 15. lipca 1880.

Kazimierz hr. Krasicki, kapitan sztabu kwatermistrz. *Szymon Krawczykiewicz,* kapitan artylerji. *Kwiryn Niezabitowski,* kapitan 3. pułku ułanów. *Feliks dr. Maciejowski,* sztab. lekarz w lazarecie Ujazdow. *Kazim. hr. Dzieduszycki* ofic. 3. pułku strzel. konnych. *Aleks. hr. Dunin Borkowski,* ofic. 3. pułku strzelc. konn. *Władysław Papara,* oficer 5. pułku strzelców. *Grzegorz dr. Ziembicki,* z 2 pułku strzelców pieszych. *Ignacy Stebnicki,* konduktur sztabu kwatermistrz. *Apolinary Zawadzki,* ofic. 5. pułku strzel. konn. *Józef Rozwadowski,* podof. jazdy lubelskiej. *Henryk Bogdański,* legji litewsko-ruskiej. *Jan Żółtowski,* ofic. 3. pułku ułanów. *Michał Barycki,* z pułku strzel. Kuszla. *Piotr Madejski,* z jazdy lubelskiej. *Alfred Młocki,* porucz 3. puł. strzel. piesz. *Julian Malczewski,* kapitan 4. pułku piechoty. *Jan Bek,* ofic. artylerji. *Henryk Malczewski* ofic. 1. pułku ułanów. *Henryk Janko.* ofic. artylerji. *Józef Supiński,* ofic. artylerji. *Bogusław dr. Longchamps,* ofic. legji nadwiślańsk. *Jan Kanty Czerszyk,* podof. legji nadwiśl. *Henryk Ziembicki,* z legji nadwiśl. *Karol Żmigrodzki* podof. legji nadwiśl. *Ludwik hr. Jabłonowski,* ofic. 5. pułku ułanów. *Adam Micewski,* podoficer legji nadwiśl. *Józef Kaczyński,* z pułku strzel. piesz. Kuszla. *Adam Jakubowski* z puł. piechoty. *Domicjan Mieczkowski,* z pułku artylerji konnej. *Adam Rogalski,* z pułku piechoty. *Walerjan Podlewski,* ofic. 2. puł. ułanów. *Erazm Kwaskowski* kapit. 4. pułku ułanów. *Ezechiel Berzewiczy,* ofic. jazdy wołyńsk. *Hieronim Kunaszowski,* ofic. legji litewsko-ruskiej. *Antoni Gozdowski,* kap. 7. pułku piechoty. *Mieczysław Darowski,* ofic. jazdy poznańskiej. *Aleksander Jaźwiński,* ofic. 2. pułku ułanów. *Ignacy Gliński,* ofic. 4. pułk. strzel. konnych. *Baltazar Brzozowski,* ofic. 1. pułku ułanów. *August Korosteński,* z 7. puł. strzel. piesz. *Antoni Kapliczyński,* z 7. puł. strzel. piesz. *Marceli Kamiński,* z 5. pułku ułanów. *Ks. Ignacy Gola, Dominikan,* z jazdy wołyńskiej. *Karol Rogojski,* z 8. puł. piechoty. *Juljusz Weis,* z pułku artylerji.

* * *

Sejm się rozjechał, powyjeżdżali wszyscy mający czas i pieniądze — pozostały na miejskim bruku jedynie ofiary, którym obowiązek wydalać się z miasta nie pozwala, lub które wyjechać nie mają za co. Pustka zatem i nudy — oto charakterystyka obecna Lwowa — w sierpniu zresztą zwyczajna. Gdybyż przynajmniej po pustych ulicach spokojnie chodzić było można! I to nie — tumany wapiennego pyłu zasypujące oczy za lada podmuchem wiatru i niesłychana gdzieindziej ilość psów, co chwila zagrażająca nogom, odbierają resztki humoru i cierpliwości. Widocznie panowie wyjeżdżając musieli psy pozostawiać bez dozoru, bo w niektórych punktach miasta, naprzykład w okolicy ulic Klejnowskiej i Sykstuskiej, a nawet w ogrodzie Pojezuickim, takie ich włóczą się gromady, że literalnie chodzić spokojnie nie można, nie mówiąc już o nocach, podczas których rozlegające się skomlenie i wycie spać nie daje, lub o możności pokąsania dzieci, czego już kilka było wypadków.

Na te psy bez dozoru, włóczące się samopas po Lwowie, zwracamy uwagę ojców miasta.

* * *

Ale ojcowie miasta zajęci są czem innem. Czy to z nudów własnych, czy to jak prawdziwi dobrzy ojcowie dbali o rozrywkę miasta w ogórkowych czasach, dość, że w przeszłym tygodniu urządzili widowisko, jakiego ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało na tym bożym świecie.

Oto na jednem z ostatnich posiedzeń rady miejskiej, p. profesor Jägerman wystąpił z formalnym wnioskiem, żądając, ażeby prezydjum magistratu ni mniej ni więcej, tylko zniewoliło dziennikarstwo lwowskie do pisania sprawozdań z posiedzeń rady miejskiej tak, ażeby rada była z nich zadowoloną, a raczej ażeby dziennikarstwo nie śmiało czynić uwag nad niesmacznemi często wycieczkami wnioskodawcy et cons.

Wniosek ten, który między innymi podpisał p. profesor uniwersytetu Ciesielski, podajemy tu dosłownie, na wieczną rzeczy pamiątkę:

„Uprasza się prezydjum, aby zwróciło „właściwym sposobem uwagę redakcji dzienni-„ków miejscowych, iżby tychże współpracowni-„cy, mający wolny wstęp do sali posiedzeń rady, „sprawozdania z obrad walnych rady miejskiej „zupełnie przedmiotowo w łamach dzienników „swych umieszczali, czego tak poważne ciało, „jakiem jest reprezentacja kr. st. m. Lwowa, „domagać się ma słusznie prawo tak w interesie „własnej godności jak nie mniej w interesie po-„wagi dziennikarstwa krajowego.“

Że znalazł się wśród ciała zbiorowego osobnik, który podobny wniosek postawił, w tem nic dziwnego nie ma, takie rzeczy wszędzie zdarzyć się mogą, lecz ażeby ciało to, mające pretensję choćby tylko do rządzenia miastem, wniosek taki przyjęło — to zdawałoby się nieprawdopodobnem. A jednak stało się. Rada miejska wniosek p. profesora Jägermana znaczną większością uchwaliła. Na pierwszy rzut oka mogłoby się to wydawać farsą, możnaby również uchwałę podobną przypisać panującym upałom, lecz po stwierdzeniu faktu, jakoteż przekonaniu się, że dzień, w którym projekt p. profesora Jägermana został przyjęty — chłodny był, musi się ostatecznie wzruszyć ramionami i przyjść do smutnego acz filozoficznego wniosku: że niepodobna jest postawić granicy, którejby niedorzeczność ludzka przekroczyć nie potrafiła.

Dodać jeszcze należy, ku uciesze czytelników, że wśród dyskusji, jaka się nad wnioskiem wywiązała, pan dr. Milleret, nazwawszy prasę — praczkarnią, z dumą wyznał, że od lat wielu wcale gazet nie czytuje, i że to samo radzi uczynić wszystkim radcom miejskim stołecznego miasta Lwowa, które to oświadczenie pana dra Millereta przyjętem zostało hucznemi oklaskami.

Najciekawszem jednak w całej tej sprawie będzie to, jakich środków użyje prezydjum magistratu, ażeby prasę w karby ująć i do posłuszeństwa radzie miejskiej zmusić? Na rezultat oczekujemy z niecierpliwością.

* * *

Jako pendant do powyższego obrazku, podajemy kilka słów opisu uczty, wyprawionej w tych dniach w Brukselli podczas obchodu 50-letniej rocznicy niepodległości Belgji, dla przedstawicieli prasy.

Na uczcie tej, czcigodny prezydent belgijskiej izby deputowanych, p. Guillery, podnosząc wysokie zasługi dziennikarstwa, wyrzekł: „Prasa jest sumieniem ludzkości, ona widzi wszystko i wie wszystko, ona oznacza całą epokę — poucza ludy.“

Nie śmiemy porównywać stanowiska naszej rady miejskiej i pana profesora Jägermana oraz pana dra Millereta, ze skromnem stanowiskiem belgijskiego parlamentu i prezydentem Guillery, zawsze jednak wyrazy uznania z ich strony, niech nam w nieszczęściu naszem pociechą będą.

* * *

(B). Z szeregu świeżych zastępów w sztuce, z plejady młodych malarzy wychylają się coraz to nowe siły. Z przyjemnością przychodzi nam je witać, z otwartemi przyjmujemy je ramiony. Mówić tu chcemy o dwóch młodych malarzach, pp. *Merwarcie i Kotarbińskim.* O pierwszym napomknęliśmy w swoim czasie, wyszczególniając z pomiędzy innych potretów, znakomitej techniki, pędzla jego portret kobiecy. Od kilku dni, aczkolwiek w skromnem miejscu, zawieszono na naszej wystawie drugą pracę młodego malarza. Jest to obrazek skromnych rozmiarów, przedstawiający jednę z chwil życia na bruku paryskim p. t. „Zgrany".

Na tło mglistego brzasku, w chwili gdy dzień noc łamie, wyprowadził artysta z bulwarowej kawiarni, szereg hulaszczych postaci. Wśród tych fusów społeczeństwa, odbija się bohater obrazku. Przegrał wszystko w karty — niedługo walczył z sobą — demon podsunął mu myśl samobójstwa. Chwila ta z całą siłą dramatyczności pojęta, pod każdym względem przedstawioną jest wyśmienicie. Rysunek wszędzie poprawny, linia pełna energji, a jednak szlachetna i harmonijna. Koloryt w całym tego słowa znaczeniu przepyszny. W p. Merwarcie witamy nowy talent, talent poparty gruntownemi studjami, który niewątpliwie, z całą siłą i świetnością na arenę sztuki wypłynie.

Wcale innym i odmiennym jest talent p. *Kotarbińskiego.* Artysta ten wystawił szkic do obrazu przedstawiający „Trupę wędrownych kuglarzy w ogrodach Lukullusa". Obrazu tego nie można pod ścisłą krytykę poddawać, jest to bowiem szkic tylko. Jakkolwiek z zasady sprzeciwiamy się wystawianiu szkiców (chyba tylko znakomitych artystów) w obec jednak bardzo wielu dodatnich stron tego obrazu, zrobić sobie pozwolimy nad nim uwag kilka.

O ile p. Merwart, w swych pracach jest realistą, o tyle p. Kotarbiński w swoim szkicu, przedstawia się nam jako malarz stylowy. Dążenie do tej pewnej, nieokreślonej dziś jeszcze stylowości, uderzająco się zdradza w szkicu, gdzie artysta goni tylko za linią kompozycyjną, gdzie szuka rozkładu grup i kontrastów, pomijając delikatne różnice charakterystyki. Artyście chodzi o ekspresję w układzie, o piękność linij. Szkic ten, jako szkic, jest bardzo dobrym, czuć w nim widoczny wpływ Siemiradzkiego, a kierunek jaki sobie młody artysta obrał w malarstwie, na wszelkie pochwały zasługuje.

Wybornym także obrazem jest „Targ na konie" p. *Witkiewicza.* Artysta ten po raz pierwszy na naszej wystawie poznać się daje. W tonie i kolorycie obrazu, charakterystyce koni i ludzi, znać myślącego artystę i wybornego malarza. Przepysznym jest, błotem obryzgany, biały koń wiozący żydów. Powietrze, to szare niebo i śnieg tający i droga pełna błota, żywcem przenoszą widza w jakiś dzień jarmarczny w małem miasteczku. „Madej" p. *Pruszkowskiego* jest to obraz oparty na znanej legendzie ludowej. Płótno to szerszych rozmiarów, jednak bardzo małej wartości artystycznej. Nie pojmujemy jak mógł artysta tak wielce utalentowany jak p. Pruszkowski, dójść do ostateczności przedstawiania brutalno-realistycznej natury, jak mógł zapomnieć, że malarstwo jest sztuką, której celem piękno a nie wzbudzanie wstrętu.

* * *

Smutną z czytelnikami przychodzi się nam podzielić wiadomością. Znakomity nasz poeta, Adam Asnyk, ciężką złożony jest chorobą. Będąc oddawna cierpiącym, udał się przed kilku tygodniami do Kaltenbergu, gdzie kuracja hydropatyczna tak mu zaszkodziła, że musiał wracać do Krakowa w stanie zdrowia znacznie jeszcze pogorszonym.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** Zwracamy uwagę publiczności na wydawaną od lat kilku w Brodach nakładem tamtejszej księgarni J. Rosenheima *Bibljotekę dla młodzieży* zawierającą powiastki Fr. Hoffmana, których już wyszło z druku tomików 17. Nie potrzebujemy oddawać należnych pochwał temu wydawnictwu, Hoffman bowiem zajmuje w literaturze dziecinnej w Niemczech tak zaszczytne stanowisko, że imię jego jest powszechnie znane, a dzieła cieszą się największem powodzeniem i uznaniem Nakładca powziął bardzo szczęśliwą myśl przyswojenia literaturze naszej tak cennych dzieł i publiczność niewątpliwie pospieszy zaopatrzyć swe bibljoteki dla młodzieży w dzieła Hofmana, jak tego mamy już dowód w tem że tomik pierwszy p. t. *Sierota* został w handlu księgarskim wyczerpany. Uznanie wydawcy należy się jeszcze i za to, że oznaczył ceny bardzo przystępne, każdy bowiem tomik zawierający sto kilkadziesiąt stronic, ozdobiony czterma stalorytami i kartonowany kosztuje tylko 50 cnt., a bez stalorytów 40 cnt. Nie możemy wprawdzie uskarżać się na brak odpowiednich dzieł dla młodego wieku u nas, zwłaszcza pod względem wyborowych przekładów— ale wydawnictwo p. Rozenhejma zaleca się właśnie przed innemi niższą ceną, gdyż zwykle ceny książek dla młodzieży są od 1.50 do 2 i 3 złr., a więc nie dla wszystkich przystępne.

W Bibljoteczce tej wyszły:

I Sierota, (wyczerpane) II. Przemytnik, III. Hrabia i Niedźwiedziarz. IV. Nieopuszczaj kraju rodzinnego. V. Kochaj bliźniego swego. VI. Wuj i siostrzeniec, VII. Nemezis, VIII. Głos Pana nad Pany, IX. Boże narodzenie, X. Plebanja XI. W Karrao, XII. Ten co ponad obłokami. XIII. Ciężka próba, XIV. Do czego za młodu nawykniesz na starość jak znajdziesz, XV. Praca a złoto, XVI. Jaka praca taka płaca, XVII. Srebrnik.

Przekładu dokonali B. Dunin, Paulina Wilkońska, St. Kunasiewicz, R. Starkel, L. Antonowicz, Juljan Topor, Robert Riszka.

Owóż co do przekładu nie zawsze on jednakowo dobry. Mianowicie dwa ostatnie tomiki przekładu pp. Topora i Riszki pozostawiają wiele do życzenia. Spotykamy tam wyrażenia: *Umię* zam. umiem — *mnię* zam. mię — zaledwie *jej* czuję — *Słusznie masz* zam. masz słuszność — *Przezemnie*, jestem na pańskie usługi. — Naraz *ale* zatrzymała się — *dereż* zam. deresz — zaniechał wszelki opór. — To pachole, ja niem byłem — Żeś pan dziś pieniędzy swoich odszukał — Ja ci tego nie wierzę. — *Pojedyńczy* człowiek (czy może być podwójny człowiek ?) — Niezapominajcie na to — Zapomniałem na nią itp.

Jest to bardzo ciężki zarzut i spodziewamy się, że wydawca w przyszłości będzie uważniejszym w powierzaniu tłumaczeń co zresztą nie będzie trudnem, a wówczas cenne to wydawnictwo tem gorliwiej polecimy.

*** *„Zadora"* nowa powieść J. I Kraszewskiego drukowana w Tygodniu, wyszła w tych dniach w oddzielnej odbitce.

*** W taniem wydaniu Bibljoteki mrówki, jako tomik 90, wyszła znakomita broszura Ottona Hausnera, *„O pojedynku."*

*** Znany autor „Obrony Sokołowa" przygotował do druku nowy poemat humorystyczny p. t. „Myślący burmistrz", który ma się ukazać w Bibljotece Mrówki.

*** Staraniem czytelni akademickiej w Krakowie, zaczęło wychodzić pod kierownictwem dr. Izydora Kopernickiego pismo zbiorowe p. t. „Przegląd Akademicki, Organ młodzieży polskiej". Rok I. Zeszyt I.

*** Następna powieść historyczna J. I. Kraszewskiego nosić będzie tytuł „Łokietek".

*** W Petersburgu, nakładem Ungra a pod redakcją p. Henryka Glińskiego, wyjdzie wkrótce kalendarz polski na rok 1881, p. t. *Gwiazda.*

*** „Zdrowie," dwutygodnik higieniczno-przyrodniczy, przestało wychodzić z dniem 1. lipca.

*** P. Edward Jelinek literat czeski, który bawił dłuższy czas w Warszawie, rozpoczął obecnie w „Narodnich Listach" szereg feljetonów, o tamtejszych stosunkach. Rzecz pisana z werwą i serdeczną dla nas życzliwością.

*** „Gazeta rolnicza" w Nr. 30. z r. b. zawiera: 1. Zagrożone lasy, przez hr. G. Bronel Platera. 2. Statystyka zbiorów rolniczych w cesarstwie rosyjskiem i niemieckiem, napisał prof. Załęski. 3. Z dziedziny Zoohygieny gospodarskiej, p. W. Sękowskiego. 4. Konie rozpłodowe na wystawie warszawskiej, przez S. Wohowskiego. 5. Listy z Poznańskiego, przez Ryszarda. 6. Przegląd polityczny. 7. Wiadomości bieżące. 8. Rozmaitości. 9. Kurjer rolniczy 10. Odcinek zawiera: Moje gospodarstwo. Nowella gospodarska, przez Sewera.

Nauka.

*** Na jednem z ostatnich posiedzeń akademji umiejętności w Krakowie uproszono prof. Władysława Łuszczkiewicza o przedsięwzięcie w sierpniu i wrześniu wycieczki naukowej do Koprzywnicy, Opatowa, Sandomierza, Zagościa i Kijów w Królestwie Polskiem; prof. Ł. zamierza, w myśl programu komisji do historji sztuki, zbadać znajdujące się w tych miejscowościach, a naukowo dotąd nieopracowane zabytki.

*** Znany przyrodnik, p. Eugenjusz Dziewulski, bawi obecnie w Zakopanem i zamierza dokonać pomiaru „Pięciustawów", których głębokość nie jest dotąd znaną; praca ta dokonaną zostanie kosztem Towarzystwa Tatrzańskiego.

*** Warszawskie Towarzystwo lekarskie ze względu na ważność ujednostajnienia naukowego lekarskiego słownika, wystosowało do Towarzystwa lekarskiego krakowskiego prośbę o wstrzymanie druku słownika wyrazów lekarskich aż do wspólnego porozumienia się w tym przedmiocie.

*** Londyńskie Towarzystwo Linneusza mianowało członkami zagranicznymi następujących rodaków naszych: p. Maksymowicza, dyrektora muzeum i herbarjum w Petersburgu, i dra Edwarda Strasburgera, profesora botaniki w uniwersytecie jenajskim.

*** *Nagroda Monthyona.* Paryska akademja nauk przyznała nagrodę Monthyona panu Kamilowi Flammarion za jego dzieło: „Astronomie populaire". Jest to gruby tom w czwórce, z przepysznymi rysunkami, który wychodził zeszytami. W pierwszym roku po wydaniu na widok publiczny. rozeszło się go czterdzieści tysięcy egzemplarzy.

*** Trzeci kongres nauk geograficznych zbierze się w Wenecji w drugiej połowie października 1881 roku. Pierwszy zjazd tego rodzaju miał miejsce w Antwerpji, a drugi w Paryżu.

Sztuki Piękne.

*** W wiedeńskiej akademji sztuk pięknych odbyło się w tych dniach rozdanie medali i nagród; z Polaków otrzymali: p. Juljusz Zuber ze Lwowa nagrodę Lampiego za pracę podług natury; p. Adam Kohn z Warszawy stypendjum konkursowe za rysunek kredą „Wizji" podług utworu Lenaua; p. Franciszek Krudowski z Krakowa stypendjum na odbycie podróży artystycznej za wszystkie swoje prace; oraz p. Teodor Alfons z Krakowa złoty medal fügerowski za najlepszy rysunek, przedstawiający młodego mężczyznę według obrazu Holbeina, znajdującego się w Belwederze.

*** Albumu widoków krajowych Napoleona Ordy ukazała się następna serja, obejmująca W. ks. Poznańskie i Prusy Zachodnie.

⁂ Czasopismo illustrowane p. n. „Przegląd malarski“ wychodzące w Petersburgu, zamieszcza drzeworyty obrazów Ajdukiewicza, a mianowicie: „Sprzedaż owoców“ i „Arabkę“, wykonane w drzeworytni warszawskiej, przyczem nie szczędzi słów uznania dla pełnego talentu artysty.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

⁂ W W. ks. Poznańskiem szerzy się w zastraszający sposób opilstwo pomiędzy włościanami. Dla ukrócenia tej plagi odebrane będą konsensa tym szynkarzom, którzy sprzedawali wódkę nałogowym pijakom. Nowe pozwolenia na otwieranie szynków wcale udzielane nie będą.

⁂ W roku ubiegłym wniesiono do sądów francuskich 3277 skarg o seperację.

⁂ *Kluby górskie.* Klub „lasu turyngskiego“, podobny do innych klubów alpejskich, założony został świeżo w Eisenach. Klub „gór kruszcowych“ (Erzgebirge) tworzy się w Joachimsthalu w Czechach. Klub „Saski dla bliższego zbadania gór miejscowych“ istnieje od lat kilku, jak niemniej klub „gór Rhönu“ (Rhöngebirge). Podobne kluby turystom i w ogóle publiczności wielkie oddają usługi i warte są naśladowania we wszystkich okolicach górskich.

⁂ *Korona obywatelska.* Towarzystwo zachęty sztuk i rzemiosł w Paryżu, ofiarowało w dniu 23. maja r. b. koronę obywatelską panu Dumas, w uznaniu jego zasług oddawanych nauce i krajowi od pół wieku przeszło.

⁂ W Lipsku niedawno miała miejsce sprzedaż autografów. Za list Elżbiety królowej angielskiej zapłacono 375 fr.; za list Kalwina 125 fr.; za manuskrypt Haydna 344 fr.; Szuberta 162; Beethowena 144 fr.; za list Webera 175 fr.; za mały bilecik Fryderyka W. 99 fr.; za bilecik Woltera 149 fr.; za list Goethego 75 fr.; za list Schillera 349 fr.; dwa listy Lessinga osiągnęły ceny 351 i 348 fr.

⁂ W Wiedniu w dniach 16. i 17. sierpnia odbywać się będzie międzynarodowy targ na zboże.

⁂ Wystawa koni w Warszawie przyniosła 16.000 rs. dochodu, a kosztowała 20.000 rs., więc około 4000 rs. deficytu; wystawa ta ma być na przyszły rok powtórzoną i powiększoną przez oddziały obejmujące bydło i owce.

⁂ Projekt urządzenia w Rzymie w latach 1885—86 wystawy światowej, zyskuje możnych protektorów; ostatnio przyrzekli swoje poparcie książęta Borghese, Doria, Pamphili, Torlonia i kilka innych znakomitości.

⁂ *Przemytł mleczny w Stanach Zjednoczonych.* Na dorocznem posiedzeniu Stowarzyszenia nabiałowego w Indjanopolis, odbytem niedawno, lord mer z Elgin w Illinois, czytał rozprawę swoją o przemyśle mlecznym. Rozmiary jego w Stanach Zjednoczonych wykazują cyfry następujące: W kraju znajduje się 13 milionów krów mlecznych, zużywających rocznie pokarmu z 52 milionów akrów gruntu i dających zajęcie 650.000 ludzi. Przyjmując na 30 dolarów wartość akra gruntu i dodawszy do tego 200 milionów dolarów jako wartość przyrządów rolniczych i nabiałowych, pokazuje się, że suma całkowita kapitału, leżącego w tym przemyśle, wynosi 2.219,288.000 dolarów. Ogromna ta suma przewyższa znacznie kapitał umieszczony w bankach i przemyśle fabrycznym, który wynosi 1,800.964,586 dol.

⁂ *Produkcja złota w Australji.* Kopalnie złota w prowincji Wiktorja dostarczyły w ciągu ubiegłego 1879 roku 44.687½ funtów angielskich czystego metalu. Ilość ta wszelako jest o 22.457½ funtów mniejszą od produkcji w 1878 roku, a o połowę mniejszą od produkcji 1868. Z tem wszystkiem w drugiem półroczu ubiegłego roku wydajność kopalni zwiększać się zaczęła, a jeżeli postęp ten trwać będzie przez ciąg bieżącego roku, wtedy produkcja tegoroczna przewyższy przeszłoroczną. Mennica w Melbourne wybiła monety złoaej w roku zeszłym na 68,500.000 franków.

Statystyka.

⁂ *Statystyka demograficzna.* Liczba małżeństw w Niemczech zmniejsza się od 1872 roku. Obok 423 900 małżeństw w roku. 1872, było ich tylko 340.000 w 1878 roku. Ludność wszelako zwiększa się w stosunku ogromnym. Przewyżka urodzeń nad zgonami wyniosla 557.000, kiedy we Francji tylko 97.000. Przyrost więc ludności w Niemczech wynosi 1.25 na 100 kiedy we Francji, tylko 0.27 na 100. Na sto małżeństw we Francji 84 zawieranych bywa między kawalerami a pannami; 4 między kawalerami i wdowami; 8 między wdowcami i pannami; 4 między wdowami i wdowcami. Liczba wdowców wstępujących w powtórne związki małżeńskie jest większą niż wdów; fakt ten społeczny stwierdzono we wszystkich krajach. Przypisują go wszędzie tym samym przyczynom; mężczyzna lepiej się konserwuje od kobiety, potrzebuje jej na gospodynię i panią domu, mianowicie jeśli jest wdowcem i ma dzieci małe; mężczyzna jest głową domu, kiedy kobieta czuje się zawsze nieco podwładną w stadle małżeńskiem, a przez wdowieństwo odzyskuje swobodę o której może nieraz marzyła. Na sto małżeństw przypada we Francji 8.18 między wdowcami a pannami; w Anglji 8.60; we Włoszech 9.86; w Prussach, Bawarji Holandji blizko 11; w Würtembergu 12; w Austrji 14. a w Szwajcarji 17.

⁂ Świat cały posiada 23,290 dzienników. Europa 13.600, Azja 386, Afryka 50, Ameryka 9129, Australja 100.

Lisia i Ramène.

Przed sądem policji poprawczej w Paryżu staje chłopak rosły i barczysty, ale niezgrabny i z fizjognomją zdradzającą brak inteligencji.

Oświadcza, że nazywa się Jakób Bonet i ma lat piętnaście, a wydaje się przynajmniej o parę lat starszym: ale widocznie o ile ciało jego szybko się rozwinęło, o tyle umysłowe rozwinięcie opóźniło się.

Zdawałoby się, że śpi z otwartemi oczami; ubrany jest dość porządnie; oskarżony o włóczęgostwo i żebranie, odpowiada na pytanie prezydującego nieśmiało i prawie bez związku.

Prez. Czy znasz kogo, coby się tu o ciebie dopomniał?

Odp. Nikogo, proszę pana, nikogo; ojciec, matka umarli, mam tylko Lisię.

Pres. Któż to jest?

Odp. Moja siostra Julisia, ale ona także mała, cóżby ona ze mnie mogła zrobić — miły Boże!

Prez. To bardzo niedobrze; sąd będzie zmuszony odesłać cię do domu poprawy...

Z głębi sali odzywa się srebrzysty głosik dziecięcy:

— Jestem braciszku, nie bój się, jestem!

I w skromnem ale gustownem i czyściutkiem ubraniu pokojówki, ukazuje się dziewczynka z miłym, inteligentnym wyrazem twarzy, i śmiało przystępuje do kratki sądowej.

Prez. Kto jesteś, moje dziecię?

Odp. Julisia, jego siostra.

Prez. Ile masz lat?

Odp. Trzynaście.

Prez. I przychodzisz?..

Odp. Zabrać mojego brata.

Prez. Zabrać; ale czy masz środki zapewnienia mu utrzymania?

Odp. Wczoraj jeszcze nie miałam, ale dziś mam; nie bój się Kubusiu.

Jakób. Oh jakaś ty dobra, Lisiu!

Dziewczę spogląda na swego brata okiem troskliwej matki; pod tem spojrzeniem twarz chłopca rozjaśnia się, iskra inteligencji błyska w jego oku, głos jego staje się wyraźniejszym — ale... jak tylko siostra odwróci wzrok, Kubuś popada znowu w ponurą obojętność.

Prez. Słuchaj moje dziecię, sąd chętnie uczyni dla twego brata wszystko, co będzie mógł zrobić, ale daj nam niejakie objaśnienia.

Od. Od dawna, proszę pana sędziego, nie mieliśmy już ojca, i matka niedawno umarła, a przed śmiercią powiedziała do mnie: Lisiu polecam ci małego...

Prez. Mały, to ten twój brat?

Od. Tak, proszę pana.

To nazwanie, zastosowane do takiego chłopaka, którego wzrost i tusza dziwną tworzą sprzeczność z drobnemi kształtami jego siostry, wywołuje szczery śmiech sędziego i obecnych.

— Po śmierci mamy byłam w wielkim kłopocie — odpowiada dziewczynka — ona poleciła mi małego dlatego, że jego umysł jest jakoś zamglony — poszłam w służbę — on zarabiał, chodząc na posyłki — na szczęście, obok mego pokoiku na szóstem piętrze była pusta komórka — wieczorem wpuszczałam tam mego brata tak, że nikt go nie widział, robiłam mu posłanie z połowy mojej pościeli i chowałam dla niego połowę mego obiadu — parę dni temu moja pani dowiedziała się o tem i kazała Kubusiowi iść precz i więcej nie wracać - ja zaraz podziękowałam za służbę — ale Kubuś poszedł pierwej, nie wiedziałam gdzie i nie mogłam go znaleść...

Prez. A dziś?

Od. Dziś zgodziłam się za pokojówkę (śmiech), mam dobrą panią; opowiedziałam jej wszystko i pozwoliła, żeby Kubuś był ze mną; przyda nam się na posyłki.

Prez. A jak się znowu zabłąka poszedłszy z posyłką?

Odp. Oh, na to mamy Ramène

Prez. Któż to jest ten Ramène?

Odp. Pies, co mi został po mamie — przez trzy dni był chory i dlatego mój brat zabłąkał się na ulicy — ile razy długo nie wracał, wysyłałam Ramène i on wynajdywał go i przyprowadzał — jak Kubuś zamyśli się i zatrzyma na ulicy, to Ramène pociąga go za surdut — u mojej pani i ze mną będzie Kubusiowi bardzo dobrze.

Jakób składając ręce jak do modlitwy woła:

— O jakaś ty dobra Lisiu.

Widać, że chciałby coś więcej powiedzieć, ale że jego myśli jakoś nie mogą trafić do ust...

Prez. pomówiwszy ze swymi asystentami:

— Pod twoją opieką i pod strażą Ramèna brat twój zapewne nie narazi się na zaaresztowanie na ulicy, a ponieważ nie ma przeciw niemu żadnego ważniejszego zarzutu, przeto sąd wraca mu wolność...

Mała pokojówka poskakuje ku ławce, na której siedzi oskarżony i rzuca się w jego objęcia...

Przez chwilę słychać łkanie obojga dzieci, poczem Lisia bierze za rękę Kubusia, kłania się z uszanowaniem sędziemu i wyprowadza swego pupila, który znowu powtarza:

— Ach, jakaś ty dobra Lisiu!...

Od Redakcji.

P.P. Autorów, którzyby sobie życzyli, ażeby o ich pracach była w „Tygodniu Polskim“ zamieszczoną ocena — upraszamy o nadsyłanie dzieł zaraz po ich wyjściu, wprost pod adresem: Redakcja „Tygodnia Polskiego“ we Lwowie plac Halicki l. 14.

Treść Nr. 31.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.